



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEĆ

ROK 1924. WARSZAWA, 16 SIERPANIA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

TREŚĆ NUMERU:

Niewolnica (wiersze)—I. K. Iłakowiczówna. W przesileniu—m. b. Działalność Polek w Ameryce—Dr. med. J. Budzińska-Tylicka. Rozmyślenia wakacyjne (dokończenie)—K. S. Soliloquia (c. d.)—Marja Gr.-K. Drogami duszy (powieść) c. d.—Helena Ceysingerówna. Emil Verhaeren (c. d.)—Marja Grossek-Korycka. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—K. Bielańska. Cel i zadania pedagogji (c. d.)—Emilja Tecka. Kobieta kraju Wschodzącego Słońca—Kazimierz Rogala-Kosiński. Iwo de Joannis (c. d.)—Zofja B. W sprawie służby domowej—Wanda Jacobson-Skrodzka. Ś. p. Katarzyna Skrzyńska (j.) Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Z teatrów H. C. Kwiaty—W. Wskazówki praktyczne—Pani Elżbieta. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i jej niemieckiego ogrodu”. Dodatek robót i ubiorów. TABLICA KROJÓW.

I. K. IŁAKOWICZÓWNA.

NIEWOLNICA

I

O zielone, zielone liście,
żółte jaskry, białe puchy w trawie,
tu mię więżą, tutaj w mroku krwawie
o kamienie skroń mą wiekusiście,
o wy liście, zielone liście!

O, ruczaju, czysty ruczaju,
po kamykach drobne fale mrużące,
czy wieczorem za ogrodem, na skraju,
stoją białe storczyki na łące?
czy u brzegu w rowie plotą wieńce
złotogłowe, wilgotne kaczeńce?

Czy starego krzyża czas nie zwałił?
Czy się modrzew z zamętu ocalił?
Czy — przekłetej na złość zawierusze—
wzdłuż alei krzywe drzemią grusze?
Czy leszczynę chmiel zagłusza dziki?
Czy jak dawniej w bzach spiewają słowiki?

O jaśminy, czeremchy i róże,
coście ze mną wyrosły na woli,
w ciężkiem jarzmie, w dzikim jarzmie służę...
serce tęskni, dusza boli, boli,
barbarzyńska moc zaciska pęta,
nienawistna, władna, niepojęta.

II

Oto w lochu śpiewam pieśń o wiosnie,
o, wy liście, zielone liście!
Mały chojak, co przed oknem rośnie,
już wie o niej, przywdział strój na jej przyjście,
jako umie — tutaj wiosnę zagaił,
cały w pędy się nowiutkie umiał.

Loch mój ciemny, praca moja nad siły—
— składać głazy, ciężką bryłę do bryły,
z dna samego wlec kamienie pod wrota.
Sroga praca, jeszcze gorsza — sromota,
bo z tych głazów nowe będą więzienia
z okrutnego, czerwonego kamienia.

Pan mój na mnie gdy bywa łaskawy,
strój mój zrzucam, myję lica z kurzawy;
dają białe mi włożyć odzienie,
naszyjniki — jak złote obroże,
a na palce diamentowe pierścienie...
I tak wiodą, wiodą Panu w łożę...
złote włosy, jak opłatek — lice,
najpiękniejszą z lochów niewolnicę.

Gdy się zorza w biały ranek przesila,
znów mię wiodą, jak barwnego motyla,

jak motyla, co ma skrzydła pomięte,
i znów w lochy mię prowadzą przekłete;
znowu suknie przywdziewam służebne,
włos owijam w brudne płótno zgrzebne,
a pierścienie spadają mi z dłoni,
jak deszcz złoty, co po glazach dzwoni.

III

O źródelko, źródelko żywe,
co wybiegasz we słońcu na niwę,
ja — śród glazów i prochów, co drzemią —
jestem źródło, zamknięte pod ziemią;
— o źródelko, źródelko żywe!

Jak to bywa na naszej ziemi,
gdy się żyto, młode żyto zeleni,
jak się kłos przy kłosie wywija,
jak opyły noszą wiatry bose!...
...Jak wieczorem tuman ściele rosę,
a tę rosę rankiem słońce spija...

Ściany biedne, ściany głuche i ciemne,
oto śpiewam, śpiewam — źródło podziemne —
że na świecie spadły z kwiatów obstonki,
jak dziewczęta, w bieli stoją jabłonki,
okwiat z wiśni płatki ściele a ściele
na niziutkie, młode w sadzie ziele.

IV

Kiedyż przyjdą po mnie czarni stróżę!
Tam daleko, wysoko przy murze,
gdzie nas droga wiedzie do pokoi,
tam samotne drzewo jedno stoi...
Kto wie — niebo gdy spojrzę błękitnie—
może drzewo tutaj zakwitnie?

Jest ptak smutny pod cieniem kotary,
w złotogłowia pomroca ptak szary,
przy nim woda, niby w wielkim pierścieniu...
...Gdy na drzewie śnieżna błysnie koronka,
może ptak się ten zamieni — w skowronka.

Żyje potwór. Zwierz straszliwy z żelaza!
Oczy jego — śmierci czarna zaraza;
kto nań śmiało żrenice podniesie,
ten się w sobie sam obłąka, jak w lesie,
i utraci ostatnią nadzieję
i, nie mogąc umrzeć — oszaleje!

V

O tęsknoto, tęsknoto, tęsknoto,
twoje ręce, białe od księżycy,
włos splątany w dwa warkocze plotą,
włos odgarną od skroni, od lica;
twoje ręce leżą na wezgłowiu
i precz gonią sny najcięższe, z ołowiu.

Tuż dokoła i na całej podnóże
sypiesz fijołki i stokrocce i róże,
od sklepienia, z sztywnych fałd baldachimu
patrzają białe gałązeczki jaśminu,
bratki rosną wzdłuż, po całej pościeli,
storczyk wstał i u serca się bieli.

Siadasz przy nim, niby siostra litosna,
bierzesz nitki szczerozłote na krosna;
kiedy nitka dobiega ostatek,
cała w kwiaty lśni w miesiącu siatka,
cała w liście, w kolce złote i kule...
Siatką Zwierza w śnie głębokim otule.

VI

O, straszliwe, pełne złud tajemnice!
Mój kochanek srebrną nosi zbroję,
śpi na kwiatkach, jak na barwnym kobiercu,
obie ręce ma splecione na sercu...
A pod sercem!... jakąż straszna to rana,
czyją ręką, czyją ręką zadana?!!!

Surowemi patrzy rycerz oczami,
zbielałemi szepce do mnie wargami:
„Twoja ręka coraz cios ten ponawia,

pierś mą głębiej, coraz głębiej zakrwawia,
co noc mękę przyjmuje i cierpię,
aż się czarna zemsta twa wczierpie.

Ciesz się, raduj, krwawam zemsty żniwem,
bo pragnieniem goreję straszliwym
pod twą siatką, co mnie ogniem pali,
niby krata z roztopionej stali,
pod zaklęciem twojem konam, ginę
w tę przeklętą czarownic godzinę*!

VII

Tyś to wreszcie, ty wreszcie koło mnie!
Ciężko ranny, szepcesz nieprzytomnie...
Ty—w gorączce, ty—we krwi, w niewolff!
Zwierz straszliwy przepadł?.. Już nie boli
ślad od szponów jego, tu na dłoni!..
Jak twa zbroja przy dotknięciu dzwoni...

Jak drżą ręce!... na radość?... na trwogę?
Z ostróg srebrnych zdjęć siatki nie mogę,
złote kule, jakby ogniem, parzą...
Patrzysz na mnie umęczoną twarzą...
Tam jest czara: zaraz cię napoję,
ukochanie nieszczęśliwe moje.

Rękawice twoje srebrne całe...
...Serce miałam do szczeru omdlałe!
Zwierz mię siłą zniewolił do łoża,
nie dosięgłam ani jadu, ni noża!...
Tyś go zabił — od Boga zesłany!
My więc wolni... Opatrzeć daj rany...

VIII

Serce w piersi, jak do lotu się zrywa...
Opadają złotej siatki ogniwa...
Jakieś światło gaśnie w górze, w pomroce
Coraz słabiej srebrna zbroja migoce...
Niknie z oczu moich rycerz raniony...
Wkoło szyi mam nie ręce, lecz—szpony!

Cień, cień tylko niech na chwilę pochwyce!
Patrzają, patrzają straszne Zwierza żrenice,
palą, palą rozognionem żelazem
rozkochane i zabójcze zarazem,
nienawistne, nienawistne, ohydne,
w czarnej nocy, jak dwa słońca widne!

O rycerzu, rycerzu widmowy,
Zwierz opętał, Zwierz mię pojmał w okowy!



Jego siła duszę całą otacza,
głos rozpaczny w pierś z powrotem mi wtłacza;
Jam pył stopą podeptany, przydrożny,
on jedyny. On nade mną pan możny!...

IX

Powiedziałam, gdy nie wierzą mi ludzie,
powiedziałam głazom w lochu o cudzie:
że jest jeniec, księżę sławnej korony,
przez służalca nikczemnego więziony,
że jest rycerz, czekający ratunku
bez przylbicy, cały w srebrnym rynsztunku.

„Że krew jego, po męczeńsku przelana,
czasem nocą cudem bywa widziana...
Że od męki wybielała ma lica,
że za służkę mu przydana — tęsknica,
że koń jego, co się wymknął przed laty,
z brzękiem podków przelatuje przez światy.

Powiedziałam jeszcze głazom: na szlaku
mlecznym gwiazdy wypatrują już znaku,
czy nie pędzi bufięć w zbrojach poświęty?
czy nie goni koń na czele skrzydlaty,
czy nie pora upaść deszczem na drogę?
czy nie pora wzniecić światła pożogę?

Powiedziałam: nadsłuchujcie z przepaści
ech pancernernej na Warownię napaści,
tysiąc mieczów o wrzecznię uderza...
Nadsłuchujcie—oto krzyk z piersi Zwierza.
nadsłuchujcie — dola czasów się zmienia,
pękły bramy, oto pieśń wyzwolenia!...

X

Patrzają głazy i płaczą ścian pleśnią:
„Znamy sny, co wam ludziom się nie śnią,
znamy wszystkich więźniów w ziemi prochu,
nie masz więźnia takiego, ni lochu...
Uciszą pieśń twą, bo katy cię schwycają,
ucisz pieśń, ucisz pieśń, niewolnico!”

Ściany biedne, ściany głuche i ciemne,
oto śpiewam cicho — źródło podziemne—
oto śpiewam wśród rozpacz i lęku.
Storczyk biały, jeden storczyk mam w ręku,
storczyk jeden, co mi został litośnie...
I tak w lochu śpiewam pieśń o Wiośnie.

Wy usłyszcie mię, źródła braterskie,
posrebrzone, niby blachy rycerskie,
róż niech słyszy gromada strwożona,
że w ciemnicy królewicz mój kona,
w mące oczu skarży się bezgłośnie
i w mej pieśni, mej pieśni o wiośnie.

W PRZESILENIU

Od szeregu miesięcy żyjemy pod znakiem przesilenia przemysłowego. Nie jest to klasyczny dla ekonomistów ostry kryzys, załamanie się linii nazbyt wybujałego rozkwitu produkcji, ale powolne, tem niemniej, dla całego ogółu dotkliwe, bo długotrwałe przesilenie. W przemyśle zastój. Hurtonicy i detaliści skarżą się na brak klienteli. Grupy społeczne, żyjące z pracy własnej, począwszy od zawo-

dów wyzwolonych: lekarzy, adwokatów i t. p., a skończywszy na pracownikach najemnych, odczuwają brak zatrudnienia i zarobku.

Podobnie jak i objawy obecnego przesilenia, poprzedzający je okres powodzenia gospodarczego nosił charakter dość blady. Produkcja polska podnosiła się powoli z upadku, w jaki pogrążyła ją wojna, handel dzwigał się z niemniejszymi trudnościami z zu-

pełnego zamarcia. Dla odradzającej się produkcji wydatną pomocą były kredyty, udzielane przez Rząd, a to nie tylko z powodu dogodnych warunków, na jakich były udzielane, ale ze względu na ciągle i szybkie obniżanie się wartości marki polskiej. Sumy, splecane rządowi jako zwrot pożyczek, nominalnie równe zaciągniętym zobowiązaniom, odpowiadały w rzeczywistości, w chwili spłaty, zaledwie śmiesz-

nej częście długu. Niezdrowe zyski stąd płynące i wogóle niski stosunek naszego pieniądza do zagranicznego umożliwiały nam konkurencję na rynkach krajowych i zagranicznych z krajami o lepszej walucie — z sąsiadami bezpośrednimi i Zachodem. Ta pozorna taniość polskich towarów miała jednak swą odwrotną stronę. Kapitał i robocizna w chwili produkcji wypadały tanio, ale surowce do niej, czy to sprowadzane z zagranicy, czy to wytwarzane na miejscu, wciąż drożały; za droższą surowców musi iść droższa towaru. Zawrotna szybkość, z jaką spadała marka polska w drugiej połowie ubiegłego i w początkach bieżącego roku, miała za skutek odpowiedni wzrost cen. Wkońcu, niezmiernie dla nas samych, z kraju jednego z najtańszych w Europie, staliśmy się jednym z najdroższych. Stosunkowo taniemi pozostały tylko produkty rolne.

Z chaosu, w który wtrąciły nas nasze stosunki walutowe, wyprowadziły nas zarządzenia, objęte wspólną nazwą uzdrowienia (sanacji) Skarbu. Ale przedsiębrane w takim stanie leki pozostawiają różnorakie ślady na organizmie. Uzdrowienie Skarbu Państwa nie mogło się obejść bez pewnego wysiłku podatkowego ze strony ludności. Przywykliśmy w stosunku do własnego Rządu do niepłacenia żadnych podatków lub do płacenia ich z takim opóźnieniem i w tak obniżonej wartości, iż nie wynosiły one nic prawie. Zarządzenia p. Grabskiego, wydawane sprężyście, bez zwykłej formalistyki sejmowej, na mocy specjalnie udzielonych przez tenże Sejm ogólnych „pełnomocnictw“, zastały już nabywcę odstręconego wysokimi cenami. Producent i kupiec, przyzwyczajeni do łatwego zbytu, przy ciężarach wobec Państwa, równych zeru, albo nawet realizujący ogromne zyski kosztem tego Państwa, stanęli jednocześnie wobec zmniejszonej zdolności kupna nabywcy wewnętrznego, niemożności współzawodniczenia z towarami zagranicznymi i koniecznością uiszczenia pewnych dość wysokich świadczeń na rzecz Państwa. Wytworzyła się sytuacja istotnie ciężka.

Cena towaru w ostatecznej jego postaci w chwili, gdy przechodzi on do rąk spożywcy, jest wynikiem tylu różnorodnych czynników, że w większości wypadków jest niezmiernie trudno określić ich wzajemny stosunek. Stosunek ten gmatwa się zupeł-

nie przy nieprawidłowym biegu życia gospodarczego. Przy tak częstych wahaniach w cenie chleba niepodobna z wszelką pewnością stwierdzić, czy w danym wypadku niżka lub wyżka nastąpiła u rolnika, u młynarza, u piekarza lub u jednego z pośrednich ogniw handlowych. Węgiel waży na cenie każdego niemal produktu, jednakże w stopniu bardzo nierównym. Ważnym czynnikiem kształtowaniu się cen są koszty przewozu, a więc wysokość taryf kolejowych, niejednakowych dla transportów różnego gatunku. Przy tak skomplikowanych warunkach, spotęgowanych jeszcze przez taryfy celne i stosunki z zagranicą, każda zmiana może dać łatwy żer spekulacji. Kto winien w wysokiej cenie, na którą składają się tak wielorakie czynniki, może wykazać tylko bardzo drobiazgowa analiza, a i ta niezawsze dotrze do jądra tajemnic zawodowych.

W każdym bądź razie w chwili obecnej zdolność nabywcza szerokich mas nie odpowiada cenom wogóle. Towary zalegają składy hurtowników i sklepy detalistów, ceny jednakże trzymają się jeszcze na dawnym poziomie.

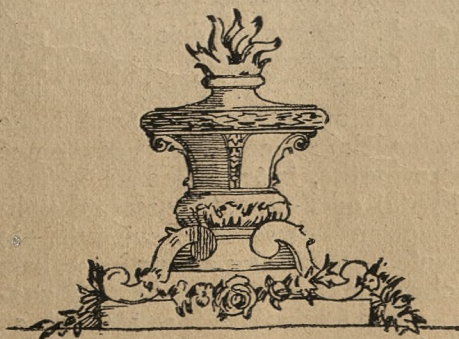
Na dłuższą metę stan taki nie jest możliwy, tak samo, jak niepodobieństwem okazało się, by ceny w Polsce były znacznie niższe, niż w innych państwach. Przy współczesnej organizacji stosunków międzynarodowych mogą istnieć tylko dwie możliwości: albo poprzestanie na roli skromnego odbiorcy towarów zagranicznych i nieposiadanie własnego przemysłu (Rosja sowiecka), albo produkowanie towarów, zdolnych do konkurencji z zagranicą. Wszystkie kraje o współczesnym rozwoju gospodarczym wykazują tendencję do wyrównywania swych cen; różnice w nich

muszą istnieć, lecz nie mogą być nadmierne.

W niezgodnej i zawistnej rodzinie państw europejskich Polska jest dziś krajem najdroższym. I nie jest to niedawna drożyzna, wynikająca z taniości pieniądza, drożyzna wobec marki polskiej, a zarazem taniość wobec dolara lub franka. Towar nasz jest droższy od zagranicznego przy wyrażeniu jednego i drugiego w walucie złotej. Proces obniżki idzie niezmiernie powoli. Jak zwykle, niżka rozpoczyna się od cen hurtowych. Jednakże zaczynają spadać i ceny detaliczne, których odbicie dają w znacznej mierze obliczenia kosztów utrzymania, dokonywane przy Głównym Urzędzie Statystycznym.

Tymczasem wszakże przeżywamy wszyscy czasy niełatwe. Dane urzędowe wykazują 150 tysięcy bezrobotnych. Są to ludzie, zupełnie pozbawieni zatrudnienia, ale liczba niezarobkujących lub zarobkujących niedostatecznie jest znacznie wyższa. Czyż bowiem można nazwać zarobkującym robotnika, który skutkiem ograniczenia produkcji pracuje jeden lub dwa dni w tygodniu, jak to się dzieje powszechnie w Łodzi i innych ośrodkach przemysłu? Czy nie należy uznać za bezrobotnego buchaltera, pozbawionego stałej posady i latającego nędzę dorywczym zajęciem „na godziny“? Te rzesze bezrobotnych, to najodpowiedniejsze podłoże dla wszelkich agitacji przeciwpaństwowych i przeciw rządowych. Te rzesze bezrobotnych, to masowi odbiorcy polskiej produkcji, która nie może stanąć na zdrowych, trwałych podstawach, jeżeli nie zapewni sobie wśród nich odpowiedniego zbytu. Ze sprzecznych interesów różnych klas społecznych musi się wyłonić pewna harmonja współżycia gospodarczego i narodowego.

My kobiety przy zrozumieniu polityki rządu i obecnego splotu stosunków gospodarczo-społecznych możemy, jak w każdym zjawisku ogólnego znaczenia, stanowić poważny czynnik w ukształtowaniu się stosunków przez powstrzymanie się od niekoniecznych zakupów i wpływanie tym sposobem na niżkę cen i niewywożenie dorobku krajowego zagranicę. Obok tego winnyśmy nie zaniedbywać urabiania opinii powszechnej w duchu rozumienia potrzeb i konieczności różnych składników społeczeństwa.



DZIAŁALNOŚĆ POLEK W AMERYCIE

I.

Pomimo, że mamy w prasie częste wiadomości o naszych rodakach z za Oceanu, pomimo, że wiele rodzin bezpośrednio utrzymuje z nimi stosunki, pomimo, że wielu z nas osobiście zwiedziło Stany Zjednoczone i zapoznało się z naszą emigracją, jednak rzadko kiedy mamy szczegółowe i bezstronne dane o ich pracy i działalności społecznej.

Nie będę tu poruszać samej sprawy „emigracji”, ani jej braków lub korzyści dla państwowości polskiej, gdyż to jest zagadnienie bardzo skomplikowane i zrobię to na innym miejscu; tu chcę poruszyć tylko działalność kobiet polskich w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej na zasadzie osobistych spostrzeżeń podczas mego 2 miesięcznego pobytu w Ameryce na wiosnę b. r.

W St. Zjednoczonych jest przeszło 3 miliony Polaków, a więc i kobiet polskich jest dużo, bo już obecnie nie odczuwa się tej wielkiej różnicy, jak 20 lat temu, kiedy liczba mężczyzn emigrantów znacznie przewyższała liczbę kobiet: rozmnożyły się rodziny na miejscu, a i napływ emigrantek jeszcze przed wojną znacznie się podniósł. Gdy więc uprzytomnimy sobie, że w Europie istnieją samodzielne państwa, które posiadają 3 do 4-ch milionów ludności i stanowią odrębne polityczne i gospodarcze całości — to także liczba naszych rodaków, skupiona na terenie jednego obcego państwa, powinna nas bardzo interesować.

Przedstawiając sprawę działalności Polek w Ameryce, wyliczać tu nie będę ich udziału w drobnych organizacjach i partjach politycznych, bo ta przedstawia bardzo nikły odsetek, natomiast szczegółowo chcę przedstawić jedną wielką organizację polek, rozgałęzioną na całym terenie St. Zjednoczonych, liczącą około 30 tysięcy członkiń. Organizacja ta nosi nazwę: „Związek Polek w Ameryce” i posiada tak swoiste, tak charakterystyczne cechy, dostosowane do życia amerykańskiego, że warto z nią się zapoznać.

Związek Polek w Ameryce założony został w Chicago w 1896 r. i, rozwijając się nieustannie, potężniejąc i bogacąc się, doczekał swych srebrnych godów zeszłego roku. Wielki Zjazd 25-cio letniego jubileuszu Związku obchodzono w 1923 roku uroczystość, wydając pamiętnik, pełen podobizn założycielek, kierowniczek i obecnych, i dawnych wraz z historycznym zarysem rozwoju tej instytucji. Czerpiąc z tamtąd dane, podaję, że obecnie Z. P. A. liczy 30 tysięcy członkiń i 370 oddziałów, rozrzuconych

po całym St. Zj. a w wielkich miastach, które mają od 2-ch do 5 milionów ludności, istnieje po parę oddziałów, których przewodniczące w wielu sprawach działają solidarnie, tworząc t. zw. Komisje Związkowe. Zanim przejdę do opisu oddziałów dla dorosłych, które noszą nazwę grup, i różnorodnymi nazwami lub godłami, i do oddziałów dla nieletnich, zwanych „Wiankami” — muszę jasno określić zasadniczy charakter tej kobiecej organizacji, której podobnej napróżno szukalibyśmy u nas.

Głównym celem Z. P. A. jest asekuracja pośmiertna — to znaczy, ubezpieczenie się na zasadzie odpowiedniej polisy na wypadek śmierci — tak, że pozostała rodzina odbiera zabezpieczoną sumę. System ubezpieczeniowy jest tak rozwinięty w Ameryce — że można wyliczyć długą litanję różnorodnych ubezpieczeń, a „na wypadek śmierci” jest podobno najbardziej rozpowszechnione. Ponięaż kobietom stawiano trudności przy ubezpieczeniu się w tow., założonych przez mężczyzn, więc poradziły sobie bardzo prosto, zakładając swoje własne ubezpieczeniowe związki, które są prowadzone pod kontrolą państwową zupełnie, jak akcyjne, komunalne czy państwowe asekuracje. Narażenie Zw. P. w A. miało wielkie trudności materialne i niewielki domek drewniany, jako własność; — obecnie posiada w środku dzielnicy polskiej duży murowany 2-u piętrowy dom, specjalnie na ten cel zbudowany, z salą teatralną na przeszło tysiąc osób, z salami posiedzeń, z biblioteką, czytelnią — kilku salami biurowymi, gabinetem dyrektorki, gabinetem lekarki, adwokatkę i t. p. — Rok jubileuszowy wykazuje, że podatku zebrano 2.023.363 dolarów, że wypłacono pośmiertne = 867.120 dolar., że majątek obecny Związku wynosi, 800,000 dolarów.

Członkiń jest około 30 tysięcy.

Grup poszczególnych — 370.

A więc instytucja finansowa, zupełnie poważna.

Co nas jednak tu uderza? Wspomniałam, że oprócz oddziałów polek dorosłych, istnieją oddziały dla nieletnich, gdzie przyjmują uczestniczki, od 2 lat do 17-tu. Otóż te dzieci i dziecińki są również ubezpieczone na wypadek śmierci... a pośmiertne pobiera matka, która sama za małeńkie istotki od 2-ch lat wypełnia polisę i potem — często dowiaduje się listownie, — „czy aby wszystko w każdej chwili jest w porządku”... to znaczy: — czy wszystkie formalności są załatwione — by zaraz po śmierci jej dziecka otrzymać dolary! Widziałam te listy, czytałam te niepo-

kojące zapytania i przyznam się — że choć nie jestem przeczułoną, ani egzaltowaną, że choć przytem jestem sama lekarką, a więc oswojoną z wyrazem „śmierć” — jednak dziwnie przykre ogarnęło mię wzruszenie i przez zamglone łzami oczy wpatrywałam się w te nieortograficzne hieroglify członkiń Z. P. A., które tak zimno, nieugięte traktowały życie swych rodzonych dzieci... Jakże zmaterializowane, jakże praktyczne, wyrachowane, bezwzględne, zimne jest serce polki zamerykanizowanej! Dolar, dolar — przedewszystkiem. Gdzież się podział nasz polski sentyment macierzyński, to głębokie uczucie, które odsuwa za wszelką cenę nawet myśl o możliwości utraty swego dziecka?...

Każdy z oddziałów Z. P. A. nosi specjalną nazwę; nazwy te rzucają pewne światło na charakter tych organizacji. Podzielić je można na nazwy patriotyczno-symboliczne jak: „Niepodległość Polski”, „Orzeł Biały”, „Echo Wolności”, „Sztandar Polski” i t. p. Niekiedy noszą one imiona sławnych Polaków: kr. Jadwigi, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Konopnickiej, Marji Dulebianki, Marji Skłodowskiej Curie i t. p. Znaczna jednak liczba obrała sobie imiona świętych: św. Kingi, Salomei, Anny, Czesławy, Barbary i t. d. Najdujemy także nazwę oddziału: tow. Polek Postępowych, a dalej bardzo naiwne i idealne, jak: Majowa jutrzienka, Miłość Siostrzana, Miłość ideału, Biała róża i t. p. W każdym razie znajdujemy w nazwach bogaty repertuar pomyślności, nacechowany uczuciami patriotycznymi i wykazujący, że pragną wychodźcy choć nazwą zespałać się z Ojczyzną.

Prawie przy wszystkich oddziałach istnieją oddziały dla nieletnich, zwane Wiankami, w których prowadzą członkinie Z. P. w A. pracę kulturalno-oświatową, to jest urządzają dla tych polskich dzieci zabawy z programem polskim o patriotycznym charakterze, jak: koncerty, teatryki, gry i t. p., jednak gdy chodzi o poważną oświatową działalność, niema tu silnej tendencji, już choćby z tego względu, że na tę ważną, bodaj najważniejszą na obczyźnie, sprawę — „Związek Polek w Ameryce” przeznaczają tylko jednego centa na miesiąc od każdej ubezpieczonej...

Powstają więc jakieś niewielkie sumy, które w żadnej mierze nie mogą być brane pod uwagę w stosunku do potrzeby zapobiegania amerykanizacji młodych pokoleń. A ta amerykanizacja, szczególnie po wojnie, nabrała wielkich rozmiarów i państwowa polityka St. Zjedn. zupełnie świadomie dąży, by swą przeogromną

ludność, sięgającą obecnie 110 milionów, a w $\frac{2}{3}$ obcokrajowców, uczynić swymi prawdziwymi, amerykańskimi obywatelami.

Właśnie nowe prawo emigracyjne, które już obecnie obowiązuje — wstrzymało liczny napływ emigrantów, określając dla każdego narodu europejskiego tak minimalną liczbę, że równa się ona prawie zeru.

Dla Państwa polskiego przypada tylko 7 tysięcy rocznie; a ponieważ są Polacy prawie we wszystkich miastach Stan. Zjedn. — więc jak te 7 tysięcy się rozczłonkuje — to będzie bez najmniejszego znaczenia. A tymczasem dawni emigranci i ich młode pokolenia wsiąkną i przejmą się językiem, kulturą i zwyczajami amerykańskimi, pozbawieni świeżego dopływu pierwiastków rodzimych. Teraz basta! wszystko zależy od nich samych, przeszło 3 milionów emigrantów polskich. Czy potrafią zachować mowę ojczystą, miłość dla swej prawdziwej Ojczyzny i poczucie obowiązku materialnej pomocy pozostałym rodzinom, i ofiarności na cele społeczno-narodowe odrodzonego Państwa polskiego?

Smutno przedstawia się przyszłość tego poczucia narodowego, bo będzie coraz gorzej, tymbardziej, że ciekawa psychologiczna zmiana w sercu naszej emigracji po uzyskaniu niepodległości. O ile podczas niewoli było tam silne napięcie patriotyczne, wyraźna tęsknota za Ojczyzną, liczne przykłady „Latarnika” Sienkiewiczowskiego; o ile w gorących chwilach ostatniej światowej wojny rozumieli nasi z za Oceanu, że przyszła wielka chwila wyzwolenia i że dla tej upragnionej od wieku chwili trzeba poświęcić i swe mienie,

i nawet samego siebie, i tę daninę dali i dali obficie, — to teraz zaszła reakcja, rozgoryczenie, apatia...

Jeżeli tych ostatnich chwil, tych ostatnich przeblysków łączności z nami nie wyzyskają oficjalni przedstawiciele Państwa polskiego w Ameryce — to będzie źle... A ze smutkiem stwierdzić muszę, na zasadzie własnej obserwacji w Ameryce i na zasadzie skarg samych naszych emigrantów, — że konsulaty nasze nic nie robią w kierunku społeczno-narodowym, że ich praca jest czysto formalna, prawna, oficjalna — a tem nie zdobywa się należnego narodowego, społecznego i kulturalnego wpływu. Robią tę pracę jeszcze nieliczne jednostki i organizacje — ale zabarwione tak rozdrażniającą walką partyjną, tak często zacieklą w swej nienawiści, — że to raczej osłabia, niż stwarza solidarność narodową.

Polacy w Ameryce nie lubią i niechętnie mnie słuchali, jak im o tem wszystkim mówiłam na licznych wiecach i odczytach, które miewałam podczas mego pobytu w Chi-

cago (gdzie jest koło 400,000 polaków) w Detroit, w Pittsburgu, w Filadelfji i innych mniejszych miastach.

Sama Prezeska Zw. Polek, pani Emilja Napieralska, urodzona w Ameryce, córka powstańca, bardzo energiczna działaczka, doskonała organizatorka i zarazem dyrektorka tej ubezpieczeniowej instytucji — w swym przemówieniu jubileuszowym mówi:

„Pójdziemy naprzód ku duszą ukochanej Rzeczypospolitej Polskiej, (i jednocześnie) ku naszemu krajowi cudnych Stanów Zjednoczonych”. Ta dziwna symbioza uczuć narodowych znów powtarza się w Jej Orędziu z powodu 13-go Sejmu Z. P. A., który ma odbywać się 17 sierpnia b. r. w Stanie Pensylwanji. Tam czytamy: „Dumne, czystą godnością obywatelk urodzenia i pochodzenia polskiego, zdobyłyśmy trzecie miejsce w największych naszych polskich organizacjach” i tamże w innym ustępie: „Co do kwestji obywatelstwa niema dwóch zdań. Wymaganem jest, aby Deleгатka była obywatelką Stanów Zjednoczonych, gdyż Izba ustawodawcza, robiąca praca dla obywatelk, musi się też z obywatelk składać”. — Jest to więc jakaś sprawa skomplikowana, — bo przecie dobrze sobie chyba zdają sprawę, że przyjmując obce obywatelstwo, zżsadniczo zrywają ze swą Ojczyzną a przynajmniej ze swem Państwem.

Rzeczywiście muszę stwierdzić, że obecnie wśród naszych emigrantów jest silna tendencja przyjmowania obywatelstwa amerykańskiego — co zupełnie i decydująco wpływa na zamerykanizowanie młodego pokolenia, — z których jeżeli wróci do Ojczyzny 2% — to pewno nie więcej...

(c. d. n.). Dr. med. J. Budzyńska-Tyltka



4) ROZMYŚLANIA WAKACYJNE

(D o k o Ń c z e n i e)

IV.

Rozmyślenia wakacyjne, zaczęte skromnie sprawą naszych stosunków szkolnych, poniosły mnie na bystre fale refleksji na temat typów szkół i systemów pedagogicznych. Rozumie się, że mogłam dotknąć tych obszernych kwestji tylko bardzo powierzchownie.

Chodziło mi zresztą o uwydatnienie, że przy obecnej organizacji szkolnej i w obecnych warunkach jest dość trudno myśleć o zmianie systemu pedagogicznego.

Cokolwiek bowiem moglibyśmy powiedzieć o wyższości tych lub owych

zasad, musimy liczyć się z rzeczywistością. Nie dajmy się uwieść pięknym słowom. W szkołach, w których na 300—400 uczniów przypada kilkunastu nauczycieli, nie może być mowy ani o wytworzeniu zwartej „jednostki społecznej”, ani o wspólnej pracy fizycznej, ani nawet o należytem zżyciu się. Musimy sobie raz zdać z tego sprawę i albo zdobyć się na gruntowną zmianę całego systemu szkolnego, albo, licząc się z istniejącymi warunkami, starać się poprawić przynajmniej to, co się poprawić da.

Nie będę dotykać sprawy lepszych lokali i lepszych urządzeń szkolnych, pominię także kwestję programu i me-

tody nauczania — chodzi mi w tej chwili wyłącznie o zjawiska natury wychowawczej.

Gdy mówimy o niedomaganiach w jakiejś dziedzinie, to możemy je zawsze rozpatrywać z dwóch stron: ze strony — że tak powiem — pozytywnej i negatywnej. Trzeba więc uwzględnić nie tylko braki w kierunku dodatnim, ale także zwrócić uwagę na istniejące objawy ujemne. Jeśli bowiem chodzi o stopniowanie, to w każdym razie istniejące wady są gorszym złem, niż brak zalet.

Choćbyśmy zatem uznali, że w obecnych warunkach trudno jest ma-

żyć o osiągnięciu tych lub owych ideałów wychowawczych, choćbyśmy się zgodzili cierpliwie czekać, aż stać nas będzie kiedyś na systemy szkolne, które pozwolą nam osiągnąć pełnię rezultatów — to niewolno nam zachować stanowiska biernego oczekiwania wobec całego szeregu t. zw. „piekących bolączek“.

Źle się dzieje. Czuje to każdy z nas, kto się bliżej styka z młodzieżą. Ciągłe wyrывa nam się z ust: Jakże to inaczej było za naszej młodości! Inaczej się myślało, marzyło, pragnęło i dążyło!

Młodzież nasza, zarówno męska, jak i żeńska, jest w wysokim stopniu zmaterializowana. I nie jest to, niestety, zwrot ku tej „trzeźwości i energii“ dla „zdobycia twardej podstawy ekonomicznej bytu, na której oprzeć się może trwale niezależność kulturalna i polityczna“, — a czego domaga się słusznie w wychowaniu dzisiejszego pokolenia p. Lucjan Zarzecki („Charakter, jako cel wychowania“). Młodzież nasza marzy o dobrach materialnych dla celów ciasnych czy to egoistycznych, dla „używania życia“. Posiadanie dolarów, akcji, will, samochodów stało się ideałem zarówno chłopców, jak i dziewcząt. Rozmowy o giełdzie, o walutach, o spekulacjach są już dziś wśród młodzieży zjawiskiem nie zwracającym uwagi. O celach i dążeniach bardziej idealnych mówią z przekąsem, jako o mrzonkach i frazesach. A ten brak ideałów odbija się fatalnie nie tylko na gorliwości w nauce, ale przede wszystkim na obyczajach.

Mówi się teraz dużo o obniżeniu poziomu moralnego u młodzieży. Brak karności, posłuszeństwa, szacunku dla starszych, niemożliwe rozróżnienie u młodszych, prowadzące nieraz do śmiertelnych wypadków, jak spadanie z dachów, strzelanie z rewolwerów i t. p. Można dużo mówić o upadku moralności wogóle, o złych wpływach atmosfery powojennej, ale nie można przeoczyć jednej rzeczy zasadniczej, że dużą rolę gra tu przede wszystkim zmniejszenie się dyscypliny szkolnej. Tak, twierdzą stanowczo — wbrew najmodniejszemu hasłom zupełnej swobody i niekarpowania młodzieży — że nie tylko w zbiorowiskach tak licznych, jak szkoły, ale nawet w grupach mniejszych bez karności praca wspólna jest niemożliwa! Zresztą odważ się na przekonanie jeszcze bardziej „przestarzałe“: oto wydaje mi się, że kształcąc i wychowując przyszłych obywateli do współżycia i współpracy w państwie, trzeba im wpajać subordynację i poszanowanie praw i ludzi.

To też źle się przysługują narodowi i Państwu ci nauczyciele, którzy zbyt dużą pobłażliwością przyczyniają się do osłabienia karności, a jeszcze gorzej zapewne ci, którzy, wprowadza-

jąc do szkoły nastroje polityczne i partyjne, uczą młodzież nieposzanowania władzy.

„A rozpolitykowanie“ wśród młodzieży, zwłaszcza klas wyższych, doszło rzeczywiście do rozmiarów niemożliwych! I nic dziwnego, skoro dyrektorowie gimnazjów publicznie ogłaszają, że poszukują nauczycieli, którzy nie należą „ani do partji lewicowych, ani do centrum“, czyli należą do... Sapiens! bo inaczej poco wogóle poruszać sprawę, tak daleką od kwalifikacji nauczycielskich?

„Politykowanie“ stało się plagą, która nawiedza nawet i szkoły żeńskie, choć tutaj rywalizować musi z równie modnymi, a więcej usposobieniu niewieściemu odpowiadającymi namiętnościami, jak: wieczne rozmowy o strojach, zabawach, modnych tańcach i t. p. Można by mówić jeszcze o wielu, wielu niedomaganiach, jak powszechne prawie zatrucie się nikoty-ną już od klas niższych i t. p. — ale szczytem chyba wszystkiego jest przerażająca statystyka i przerażający procent uczniów wenerycznie chorych. Włosy naprawdę stają na głowie, gdy się pomyśli, że ci chłopcy mają kiedyś stać się ojcami przyszłego pokolenia inteligencji naszej.

Kto ponosi winę tego strasznego stanu rzeczy?

Przedewszystkiem dom! Pedagogia domowa bowiem także uległa ogromnemu zmodernizowaniu. Z dawnych stosunków patryjarchalnych, kiedy to władza rodzicielska bywała nieraz wprost despotyczną, wpadliśmy w drugi ekstrem: zupełnej swobody i niewtrącania się do spraw dorastających dzieci. Pod tym względem szkoła i dom, choć niema zresztą między nimi, niestety, prawie żadnego kontaktu, postępują dziwnie zgodnie; albo dawny system łamania indywidualności dziecka, albo nowy — zostawiania go samemu sobie.

Wracamy więc znowu do sprawy ekstremów i „złotego środka“.



I oto przychodzi mi na myśl, że ludzie dlatego tak gardzą umiarkowaniem, ponieważ wymaga ono — wbrew powszechnemu mniemaniu — opanowania egoistycznych popędów, stosowania się do danych warunków, w każdym razie dużego wysiłku. O wiele łatwiej jest i wygodniej narzucać młodzieży swoje zdanie i swoją wolę, albo też zostawić ją zupełnie samej sobie, niż iść drogą owego „złotego środka“ i, nie łamiąc praw indywidualnych dziecka, kierować jego rozwojem, radą i przykładem. To wymaga nie tylko ukochania młodzieży, ale także dużej, konsekwentnej i wytrwałej pracy. Trzeba z dziećmi się żyć, poznać ich uczucia i pragnienia, nie wymagać od nich ani zbyt dużo, ani zbyt mało, a przede wszystkim być zawsze cierpliwym i mieć na wszystko czujne oko i troskliwą opiekę. Jest to obowiązek tych, którzy wychowują, obowiązek rodziców i nauczycieli.

I oto docieramy do największej anomalji, do największej „bolączki“ sprawy wychowawczej. Trudno doprawdy zrozumieć, jak to jest możliwe, aby ci, którzy dążą do wspólnego celu, do celu tak trudnego i ważnego zarazem, nie czuli potrzeby porozumiewania się. Między domem a szkołą niema żadnego kontaktu. A jeśli jest jakiś stosunek, to negatywny, pełen obustronnej niechęci. Czy trzeba tłumaczyć, jaki to za sobą pociąga skutki?

Winę, a także i szkodę ponosi w pierwszym rzędzie dom. Któż bowiem więcej dbać powinien o najlepsze warunki rozwoju dzieci, niż rodzice?!

Ale zważywszy, że nie wszyscy rodzice dorośli do wysokości swego zadania wychowawczego i że z drugiej strony na nauczycielach, skoro już raz obrali ten zawód, ciąży obowiązek moralny zrobienia wszystkiego, aby się najlepiej z niego wywiązać — dojszć musimy do przekonania, że z ich to właśnie strony wyjść powinna inicjatywa wspólnej pracy i porozumienia z domem.

Dr. Ovide Decroly, najwybitniejszy przedstawiciel nowego kierunku pedagogicznego i twórca „szkoły pracy“ w Belgji, powiada: Trzeba by rodziców wprowadzić w nowe metody, aby dzięki zrozumieniu ich zrodzić się mogło inne zainteresowanie i współdziałanie praktyczne; trzeba, aby przez wydziały rodzicielskie brali udział w zarządzie szkół i przynajmniej raz na miesiąc schodzili się na wspólne zebrania gmin szkolnych“.

Warto i u nas nad tem się zastanowić. Bez tego kontaktu bowiem nie można nawet marzyć o jakichkolwiek rezultatach pracy pedagogicznej.

2)

SOLILOQUIA

Proza poetycka.

Ale po nocach budził mię ze snu mój własny jęk . . . i z przerażeniem spostrzegłam, że poduszka mokra jest od łez, które przez sen płynęły.

Siadałam na rozkosznym mojem łożu, ponura niedobrem przecuciem, rozmyślając, gdzie się tak rwie, czego potrzebuje moja Dusza? A ona tak chciała cierpienia!

W majową widną noc, gdy słowik zachłystywał się od łez upojenia, zaturkotały błyskawiczne koła: przyjezdny zapukał do wrót...

Cały Dom, jak jeden człowiek, zakrzyczał: nie otwierać!

Ale Tyś mi poradziła tylko jeden jedyny raz wyrzec przez wycięte w drewnie okienko: l zobaczyłam twarz szczęścia!

Rozwarły się na rozścież drzwi główne w sień od parady „To Miły Gość! — to Drogi Gość! — on wiezie domowi naszemu talizman pomyślności i bezpieczeństwa!“ obchodziła Dusza komnaty śpiące, wzywając je, iżby otwierały na uroczyste przyjęcie oba ramiona drzwi i jasne źrenice lamp! — Zapłonęły w kuchniach wielkie ogniska — stół wyciągnął się, jak biały, wąski gościniec krakowski, weselnie wykwiecony i rozbłysły. Wybuchnęła gwarna, szumna, huczna biesiada na całą noc. — „Gość Miły“ siedział na pierwszym miejscu, wszystkie oczy i uszy na jego złotych ustach zawisły. Już zapiał kogut i zlekka poniebieściały szyby, gdy nagle Miły Gość powstał z miejsca, a wznosząc toast w lewej ręce, prawą zdarł maskę z twarzy... I zobaczyliśmy, że była to zamaskowana Śmierć!...

Rozległ się przeraźliwy brzęk szkła, które wypuszczały dłonie bezwładniejące...

Wszyscy dookoła stołu padli martwi — ja jedna zostałam się żywa — i patrzyłam szklanemi oczami, jak wynoszono z Domu Szczęścia jedno za drugim długie, wąskie, czarne pudła... Aż ten Dom kochający pochylił się pod brzemieniem kirów i zapadł w ziemię.

Wiatr hulał przez powyrywane okna i wył po korytarzach — deszcz pluskał przez rozsunięte krokwie dachu — piec w kącie wywalił na wierzch czarne jelita... Z cichem skomleniem ostatni pies zdychał na sukni mojej, zrzuconej ongi na ziemię. Bezwład głęboko wkopał w poduszki głowę moją, opuszczoną przez tych, co pomarli i przez tych, co żyli... Była noc, gdym otwarła przytomne wreszcie oczy. — Cóżby to mogło być?!... Tam, w głębi pokoju, na pierwsze moje poruszenie odpowiedział szelest... jakby

jakas Czujność na nie czatowała?!.. Któżby to mógł czuwać nade mną, która nikogo na świecie już nie miałam?! Serce, zakatowane świadomości szaleństwa nadziei, nagle uczepliło się tego szaleństwa! Oczy prześwidrowały ciemność, przyświecając sobie fosforem cierpienia. Ktoś wstał z fotelu i szedł ku mnie powiewnym krokiem serdecznej troski... Możesz to być?!... to byłam ja!...

Sobowtór pochylił się nade mną i oczy w oczy patrzyłam się z bliska. Tak, to była moja twarz... — a jednak i nie moja!... Tamta była ode mnie dużo starsza, była to twarz niemłoda już, poryta brózdami i już nie piękna, w znaczeniu ludzkim. Ale przemieniona, jak Chrystus na górze Tabor, posiadała majestat, którego czar był zniewalający.

Usta złożone, jak u tych, którzy mają przyzwyczajenie rozkazywać, a surowa powieka powściągała przenikliwą słodycz spojrzenia. Potężne ręce uniosły mię za ramiona i posadziły z mocą bezwzględного jakiegoś nakazu. I w jednej chwili uczuwszy się całkiem zdrową, wstałam na nogi. Ucałowałam na klęczkach próg świętej ruiny i poszłam w świat, gdzie oczy poniosą.

Sama jedna w bezludnej puszczy łupałam skałę ciężkim kilofem, od rana do wieczora, aż świstem mojej piersi ożywił się głuchy las, niby stukaniem dziecięcia. Na grubych linach ciągnęłam przez wodę olbrzymie bierwiona, jak ta mrówka, ginąca pod rozmiarami swej noszy.

Po długim, długim czasie wysiłkiem rąk moich mocnych i przemyślnych zbudowałam w sobie, nowy Dom życia — na ruinie dwóch przeszłości!

Ten trzeci Dom leżał w strefie złotej jesieni, gdzie owoc już jest zebrany, a jeszcze kwitną astry i lewkonje. Pomiędzy mną a słońcem stała już długa procesja cieniów, co mi je przesłaniały — ale i mgły były przesłonecznione. Kiedy wieczorem przechadzałam się po wąskich dróżkach z chusteczką w ręku, którą czasem przesuwałam po twarzy, wysokie georginje łąsiły się do mnie, wielkie głowy amarantowe kładąc mi na sukni. Głaskałam je po niobach karbowanych w przechodzie dłonią rozrągnioną, myśląc o tych pierwszych i o tych drugich, które opadły za barjerę wieczności... Ale smutne moje palce łagodził aksamitny szkarłat pieszczoty. Nauczyłam się cenić przy-

jażń, która jest księżycem zaszłego za horyzont słońca. Rozum strofował mię z pocziwą gderliwością, abym do tego Domu nikogo już obcego nie wpuszczała i nie dała się z niego wyprowadzić żadnym fortelem. Przysięgam na wierność rozumowi. I na cóż mi się przydało słuchać jego przestróg?!... Każdemu mojemu dziełu, wszystkim moim poczynaniom, każdemu światu, który zorganizowałam, sądzona była nieodwołalna zagłada! Katakлизм wyroczny przychodził nieodmiennie w moment najwyższego rozwoju, w chwili ostatecznego ustalania się harmonji sił.

W jednej z tych chwil uroczystych, gdy świadomość ogarnia sama siebie, padłam na kolana przed oknem, otwartem na gwiazdy. Jesienny wieczór pachniał gorzkim migdałem, ciepły, jak maj... Ogromne brylanty nieba opuściły się nisko ku ziemi. Kilka bursztynowych liści klonu, ważąc się czas jakiś na powietrzu, padło bez szeleśnie na parapet okna, niby dłonie z błogosławieństwem, szukające mojego czoła.

„O gwiazdy! gwiazdy! — modliłam się — jeszcze raz w życiu posiadałam maluczki raj, drogi drogością rzeczy ostatnich. Niechże choć ten odebrany mi już nie będzie!”

Tyle już razy odchodziło ode mnie wszystko — z prawa mnie teraz należy się rola tego, który od wszystkiego odchodzi...

O Panny święte! Patronki niebieskie! Oczy wieczne! ustrzeżcie mię od okropności pożegnań wiekustych. Niech to już będzie ostatni dach nad moją głową, z pod którego niech mnie już wyniosą tylko martwą! I niechaj to, co mię teraz otacza, zamknie już księgę moich widzeń“.

Już złote rzęsy mrużyły się namysłem i ważyło się na niebie, czy modlitwa moja ma być wysłuchaną? — gdy spadł na mnie sen nagły, a kamienny, który skrępował mię, jak zbrodzień. A tu rozszała się straszliwa burza. Cztery na węglach słupy domu chwiałały się, jak cienkie bądale dziewczanny. Cięły się i kołysały z okropnym trzaskiem ściany domu, dach huczał, jak wzburzona fala. Na wierzchole jego stała Dusza moja, a wyciągnawszy do góry ręce swe potężnej czarownicy, spraszła chmury, zwoływała wichry. I ściągnęła na dom mój piorun, który go przeszył od pięt do lochu i zawałił w dymiący się gruz...

12)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

A panna Anna z żalem opuszczała Gostków. Najwięcej zaś żal jej było małej opozycjonistki „romantycznego sowizdrzała“, jak lubiła przezywać Wandzię. Niekochana przez nikogo sierota opanowała serce starej panny. I dziewczyna ostatecznie przywiązała się do nauczycielki, choć nigdy nie mogła oddać się tej sympatii z całym entuzjazmem, do jakiego zdolną była jej duszka. Panna Anna bowiem studziła nawet objawy przyjaźni dla siebie. Nie lubiła egzaltacji. Przrzekły sobie jednak nadal utrzymywać stosunki, pisywać do siebie. Panna Anna obiecała przysyłać Wandzi z Warszawy książki naukowe i kierować choć z daleka jej dalszym kształceniem się.

Po wyjeździe chłopców i nauczycielki, pustka i cisza zaległy w dworze. Dziewczęta dorastały, pragnęły stroić się, bawić, tańczyć... daremnie! Nie było na nic pieniędzy. Sokołowski, omotany przez lichwiarzy, pracował na procenty dla nich, ani myśleć mogąc o spłacie długów. Chcąc raz już strząsnąć z siebie tę szarańczę, obciążył hypotekę do ostatnich granic, sumę posagową żony spychając na ostatni numer. Ale i to nie pomogło. Przyszły kłęski gospodarcze: grady, posuchy; karbunkuł wybił mu bydło; na drugi rok konie zaraziły się nosacizną, a kartofle wyginęły z powodu nadmiernych deszczów i tak ciągle w kółko! Weksle Sokołowskiego krążyły po okolicznych miasteczkach, wzrastając wciąż w liczbie; starozakonni wierzycciele codziennymi byli gośćmi w Gostkowie.

— Sokołowski „robi już bokami“ — z końska mówili o nim sąsiedzi.

A pracował biedak, harował, zabiegał z całych sił. Wstawał o świtanu, palił się na skwarach podczas żniw i marzył w stodołach przy omłocie zboża. Tylko szczęścia mu brakło i rachować, a przewidywać nie umiał.

Żona nie tylko nie współczuła mu, ale wszystkie te niepowodzenia przypisując jego nieudolności, miała doń teraz żal podwójny: za siebie i za córki. „Zmarnował jej życie, a teraz im zamyka drogę do szczęścia. Muszą zostać staremi pannami! Któż weźmie córkę bankruta?!“ To była zasadnicza treść codziennych wymówek w rozmaitej podawanej formie. Sokołowski chylił się pod ciężarem słów żony, spojrzeń, uśmiechów, pełnych ironji i bólu.

Pani Ewelina jednakże sama w znacznym stopniu przyczyniła się do ruiny majątkowej męża. Gospodarstwo domowe w Gostkowie szwankowało zawsze, ale im dalej, tem gorzej szło. Służba robiła, co chciała;

marnowano zapasy, wynoszono z domu co było bardziej wartościowego, zdychał drób, zachwaszczony, zdziczały sad nie dawał żadnego pożytku — ruina wyglądała z każdego kąta.

Sokołowska blada, wynędzniała, cierpiąca ciągle na bóle w głowie i wszystkich stawach, umiała tylko narzekać i gniewać się. Rozdrażnienie jej przybierało formy, coraz przykrzejsze dla otoczenia. Niecierpliwiły ją córki, do histerycznego szału doprowadzał mąż. On był winien jej chorobie, jej męce!.. on przyczyną kłopotów i niedostatku!.. Najlepiej znosiła teraz Wandzię. Zaczęła wyręczać się nią w gospodarstwie. Córkami, choć starsze były, nie mogła. Ich lenistwo, apatja, bierność, czyniły z nich w domu zupełne nieużytki.

Zamknięte całymi dniami w dusznym pokoju, czytały powieści albo prowadziły ze sobą i tylko ze sobą przyciszzone rozmowy na temat marnującej się ich młodości, upragnionych, a niedostępnych strojów i zabaw i widywanych młodych ludzi, którzy stronili od nich bardzo wyraźnie... czasem płakały..

Wanda z ochotą wzięła się do gospodarstwa. Miała teraz dużo czasu; czynnej jej naturze potrzeba było pracy. Zresztą, stawało się to wprost koniecznością. Rozprzeżenie w domu dochodziło bowiem do tego stopnia, że wracający z pola Sokołowski nie zastawał obiadu; one same żywiły się dorywczo, czemkolwiek, jakąś naprędce ugotowaną kawą, resztkami z poprzedniego dnia... Co gorsza, czeladź buntować się zaczynała na zły wikt, ponieważ nie było komu dopilnować kucharki.

— Za dużo pierza w tej kaszy, proszę jaśnie pani! — wołał parobek, wnosząc do pokoju miskę z jadem, na dowód prawdy swoich słów.

— Idź no Wandziu, uspokój ich — mówiła w takich razach Sokołowska — daj im co chcą, tylko niech mi pozwolą zasnąć na chwilę! — I ujmowała w obie ręce zboliałą głowę.

Gdy Sokołowski złościł się, że niema co jeść, że w domu nieład i nieporządek, Sokołowska wołała:

— Wandziu, zajmij się obiadem, daj „temu człowiekowi“ co chce, niech mnie nie dręczy, niech mi pozwoli umrzeć spokojnie! — i zalewała się łzami.

Wandzia biegła tu i tam. Radziła, jak mogła i umiała.

— Z panią przynajmniej dogadać się można — mówili ludzie.

Po jakimś czasie całe gospodarstwo przeszło w jej młodziutkie, niedoświadczone ręce. Pracowała od świtu do nocy. Wstawała wczesnym rankiem do doju krów, robiła obrachunki z pachciarzem i z sądowni-

kiem. Była w spiżarni, w piwnicy w kurniku i w ogrodzie, zarządzała kuchnią i pralnią i znajdowała w tem wszystkim dużą dozę zadowolenia. Czuła się teraz w domu tym potrzebną, nawet niezbędną.

Sokołowski odetchnął.

Zaczął się jakiś ład i zaczęło gospodarstwo to przynosić nawet pewne dochody. Młodziutka gospodyni wyrosła bardzo; wiotka, szczupła, jasnowłosa, z niepokalaną pogodą w spojrzeniu i na czole, nie przypominała teraz niczem tego chmurnego dziecka, które ongi przywieziono do Gostkowa. Dusza jej łagodniała z wiekiem, uspakajała się i jakby cichła w sobie.

Sokołowski kochał ją bardziej, niż swoje dzieci i podziwiał, stawiając za wzór córkom i żonie bez widocznego z resztą rezultatu.

Była i druga istota, oddana jej gorąco. To mała Ninka, której nikt nie wychowywał, nikt się nią nie zajmował, a matka okazywała jej nawet szczególną obojętność, prawie niechęć i jakby wzgardę.

Niezrozumiałem jakimś uczuciowym prawem działało się, że dziecko to namiętnie przywiązane było do niekochającej go matki.

Ale opiekunką i nauczycielką była mu Wandzia.

Ani absorbujące zajęcia gospodarskie, ani trud nad siły prawie nie zagłuszyły w duszy Wandy tych muzyk przedziwnych, z którymi przyszła na świat. Muzyka marzenia grała jej wciąż, wiążąc się w coraz nowe girlandy tonów: zdarzeń, widzeń, snów.

Pracę każdą nauczyła się wykonywać niemal automatycznie, nie poświęcając jej prawie nic z wyższych władz psychicznych. Ze wszystkim, co było jej dniem codziennym, stykała się tylko zewnętrzną, najzewnętrzną warstwą myśli.

Głębiej rozpościerało się nieskończone królewskie państwo fantazji, a jeszcze głębiej — sfera jakichś głosów tajemnych, jakichś nastrojów osobliwych, słowami, ani nawet myślą niewyraźalnych.

Pewnego lata epidemia nawiedziła Gostków. Chłopcy, przyjechawszy na wakacje, przywieźli z miasta gorączkę tyfoidalną. Rozchorowali się pierwsi, za nimi poszła matka, siostry, wreszcie i ojciec, potem parę osób ze służby; zaraza przeniosła się na wieś, zabierając ofiary, jedną za drugą.

Tylko Wandzia i Ninka oparły się chorobie.

Na Wandę spadł ciężar opieki nad całym domowym szpitalem.

Dniami i nocami na nogach, biegła od łoża grymaszącej Eweliny do

pokoju, w którym cicho, nigdy nic nie potrzebując. chorzał Sokołowski, rozcierała octem rozpalone ciała dziewcząt, okładała lodem płonące głowy chłopców, poiła lekarstwami służbę. Niezmordowana, czujna, spokojna, zawsze gotowa na każde zawołanie!

Był to dla niej okres ciężkiej próby. Teraz, nie tylko zarząd domem, ale i męskim gospodarstwem i zapłatanymi interesami Sokołowskiego znalazł się w rękę młodziutkiej dziewczyny. Prowadziła konferencje z wierzycielami co prawda, ograniczając się wyłącznie do próśb o cierpliwość, ale prawie zawsze skutecznie: decydować się musiała na środki heroiczne i w następstwach dla całokształtu interesów Sokołowskiego niewątpliwie szkodliwe. Wiedziała o tem, ale w domu lekarze, felczerzy, pielęgniarki, a pieniądze brak i niekiedy po prostu na lekarstwo niema, a śmierć chodzi po domu wielkimi krokami!...

Pierwszy podniósł się Sokołowski, podniósł się, ale nie miał sił odprowadzić na cmentarz trumien obu synów, których w szale gorączki chwyciła zimna śmierć, prawie jednocześnie. Umierali, grożąc moskalom, śpiwając powstańcze pieśni, złudzeniem boju za ojczyznę kołysani na wieczyste spanie.

Odprowadziły ich Wanda i Ninka, zanosząc się od płaczu.

Powoli wracali chorzy do zdrowia, ale dom osmutniał jeszcze bardziej.

Sokołowscy pochyliłi się ku starości.

Niedostatek, ruina, zaniedbanie, szczyrzyły zęby.

Cicho, na palcach weszła Wanda do pokoju, w którym odosobniono zgorączkowaną Ninke. Mała dostała jakiejś wysypki. Podejrzewano odrę i rozłączono ją z siostrami. W pokoju było ciemno. Wanda weszła ze świecą i pochyliła się nad łóżkiem.

— Spisz?

— Nie. Ale tak się boję.

— Czego?

— Nie wiem, usiądź przy mnie, daj rękę, może tak usnę.

Wanda usiadła, zgasiła świecę i siedziała w ciemnościach, gorącą rączkę dziecka czując w swej dłoni.

Po chwili obie zasypiać zaczęły. Zbudziła Wandzie rozmcwa, a raczej kłótnia, dochodząca z sąsiedniego pokoju.

Obok była sypialnia Sokołowskich, którzy zapomnieli zapewne, że w przyległym, pustym zwykle saloniku, umieszczono teraz chorą dziewczynkę.

Sokołowska mówiła rozdrażnionym głosem:

— Jakże mogą pojechać, kiedy nie mają ani kapeluszy, ani sukienek.

— Eh, przecież coś tam mają...

— Mają! Czy ty się znasz na tem?! Zrobiłbyś z nich pośmiewisko

całej okolicy. Nie pozwolę! Niech siedzą w domu, skoro mają ojca, który nie dba o nie.

— Ewelinko, świadczę się Bogiem, jażbym chciał! Tembardziej teraz, kiedy tylko one nam zostały. Ale zrozum to, nie mogę. Jest przeciw mnie Bóg czy los, czy djabeł. Nie wiem, ale czuję, oh, od wielu lat już czuję jakby ścianę przed sobą. Walę o nią codziennie łbem i napróżno.

— Ha, byliśmy nieopatrzni — rzekła po chwili Sokołowska. Chowaliśmy cudze dzieci, a teraz dla swoich nie mamy... Nie było odpowiedzi. Sokołowska snuła nic swoich myśli.

— Taka Wanda, czy mało kosztowało nas jej wychowanie?... i teraz, ostatecznie mogłaby już zarabiać na siebie... panny w jej wieku...

— A czyż ona nie zarabia? — przerwał Sokołowski. — Pracuje za trzy gospodynie.

— Eh, taka tam praca! Wiesz, ostatecznie mogłaby już pójść o własnych siłach.

— Co? Co! — krzyknął Sokołowski — a cóżbyśmy robili bez niej!

— Jak ty dziwnie stawiasz kwestję? Poprosto byłoby nam lżej, ubyłaby jedna osoba do żywienia i odziewania.

(c. d. n.)

6)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

E M I L V E R H A E R E N

Tak, jak go czarowało niebo gwiazdziste, tak go zachwycił teraz naiwny światek roślin i owadów. Jeden z najpiękniejszych Jego wierszy nosi tytuł:

DOKOŁA MOJEGO DOMU.

Na kwitnącej glicynji, która w rosach wilgnie,
Zielony, żółty, niebieski,
Pstry owad w arabeski
Trąbką do kwiatu przylgnie
I ssie na słońcu...

O, cudol! skrzydełka te szklane,
Te nóżki zębione na końcu
I czworogranne...

To mycie
się co chwilką,
Na główce słomy, na kancie badykał
Cienkie kibicie

W gorseciku z emalii kruchej,
Z mieniącego się klejnocika!
Jakże dokładne, jakże składne ich ruchy.
Przez odbicie

W mych oczach przenika
We mnie ich życie.

O, te ich gzy, o, te zabawy!
O, te romanse na ździeble trawy
I walki dookoła gron fioletowych!

Sztuka ma cudne ich podziwia domy
Z garsteczki puchu, ze ździebła słomy,
Usuwam od nich ptasie zasądki,
Z lepu i błota,
Uwalniam skrzydła, oczyszczam macki,
Strzegąc, by nie przepadła misterna robotal
Podziwiam ruchy
Matematyczne,
Niby zegary,
A gdy mi umkną w niebios obszary,
Myślę, że między gwiazdy wpadłszy, świeca,
[śliczne!]

Często o zachodzie brzęk i roje-
nie wzmaga się aż do jakiegoś szaful
Cała chmara wzbija się wzdłuż wie-
życzki, dosięgając dachu. Zdaje mi się
wtenczas, że serce moje jest ośrodkiem
tej gorączki życia, że dom mój stanowi
przedmiot pożądania, oblegany przez
wszystko to, co żyje i krąży w słońcu.
Zdaje mi się, że otacza mię miliard
skrzydełek, utkanych z wiatru, ze świa-
tła i deszczu. Uwielbiam nieskończe-
nie całą tę naturę! Od karłowatego
krzaczka do słońca, ognistego ol-
brzyma. Płatek kwiatowy, pręcik,
ziarno ogorzałe biorę nabożnie w palce
kochanka. I nie odróżniam już siebie
od świata. Ja jestem to bujne liście
na drzewach, ja — te powiewne gałęzie,
ja — ta ziemia, po której depcę, ja — te
trawy gęste, w które rzucam się nagle

upojony, gorący, obłądny, szczęśliwy,
rozełkany.

Oto wzdłuż jasných, długich i kre-
tych ścieżek róże sztamowe kwitną i ma-
ki ocieżyła. Każdy płateczek jest różo-
wą powieką przezroczystą, którą światło
przenika i ogrzewa drżącą... Najskrom-
niejszy pręcik kwiatowy, liść najbied-
niejszego chwastu posiada nerwację
tak mądrą, rysunek tak czysty, że wy-
wołuje miłosny łośd oczów.

Oto po łagodnem słońcu cichy
deszczyk rzuca na kwiaty krople mięk-
kie, które ich nie ranią. Tak jak ten
deszcz delikatny zbliżmy do nich usta
z wiarą w sercu, że całując ich pię-
kność, w której tkwi tyle tajemnicy
i radości, z rozkoszą, miłością i nabo-
żeństwem, całujemy usta ziemi.

Serce jest tak wezbrane zachwy-
tem i miłością, że modlitwa staje się
żywiolową potrzebą i gest jej zostaje
wykonany, choć niewiadomo do ko-
go go skierować? Verhaeren zwraca
się ku Przyszłości:

Ilekoć myśl się strudzi
Od długiej gonitwy,
I w drzwi Przyszłości zakołata święte,
Budzi
się nagle — czuję — skrzydło w piersiach zwinęte
Dawnej modlitwy

Serce me mknie za nimi w powietrzne wyprawy.
Okrucy piękna, światła atomy,
Pyleczki złota, życia kurzawy,

Inne dziś słowa—do innych szepczą widm,
Lecz nuty
są też same, zostały z dawnych gamm
I rytm,
Na rytmie serca mego wykuty,
po latach tylu, po tylu, ach, ten sam!
Iskro ostatnia zgasłego ogniska
W popiołów perzu,
Którą w dal serce, jak grot z siebie ciska
Do przyszłości stojącej w pacierzu

Przyszłości! dzisiaj ty mój jesteś Bóg.

Kto posiada w swej duszy bezpośrednie czucie Boskiego, temu filozofja jego czasu podsunie prędzej czy później formę Bóstwa.

Wiara w nadczłowieka jest kultem powszechnym naszego czasu. Wyznajemy ją wszyscy. Nitscheiści dają nadczłowiekowi interpretację demoniczną — chrześcijanie seraficką. Nadczłowiek Verhaerena jest najbardziej może wszechstronny. — Patrz na zło i dobro tak, jak Fata — a może i Opatrzność?!

Entuzjazm Verhaerena obraca się, jak słonecznik za słońcem wszelkiej Potęgi. — Potęgę ubóstwa w każdej postaci, i to, co do niej prowadzi: heroizm. Ten heroizm wewnętrzny, który zawsze sięga po niemożliwość, łamiąc granice, posta-

wione przez naturę każdej istocie, który umęcza w nas człowieka w interesie nadczłowieka, on stał się przedmiotem najwspanialszych liryk i poematów Verhaerena.

Oto strofa najbardziej może charakterystyczna:

Niech będzie stromy, jak chceć wysoki
Ten szczyt, gdzie zapał twój z zuchwalstwem
[mierzy ptaków,
Nie wahaj się wciąż smagać pod obłoki
Niemożliwości ognistych rumaków.

„JUTRZNIĘ“ i „ZŁOTO“.

Verhaeren zerwał z tradycją, która od czasu Chrystusa obowiązywała każdą duszę wyższą do gardzenia złotem.

Złoto największa, a może nawet jedyna Potęga naszej Współczesności, zajmuje osobny poemat w dziele Tego, który był Czciwiecem Potęgi w każdej postaci. Złoto jest najczęściej przez Verhaerena używanym wyrazem. Złoto hallucynuje jego wyobraźnię. Dźwięk melodyjny tego nowożytnego deszczu Danae, padającego na marmur bankierskich stołów, podnieca i przyspiesza jego rytm.

(La conquête Multiple Splendeur)
O Złoto! Krew siły nieubłaganej nowożytniej. Złoto tronów — złoto Ghetów —

złoto ołtarzy! Złoto podziemne, którego banki są jaskiniami. Gdzie ono marzy, zanim się rozproszy po morzu, które przerzyna, po ziemi, którą depta, by karmić lub ogładzać, potęgować lub obniżać czy niszczyć. Złoto, serce miljardowe, czerwone — tłum!

Rasy najstarsze, siły najrozmaitsze, wyście związały swoje przeznaczenia rozpięzchle, odkąd złoto włożyło wam pod czoło tę samą pulsującą nadzieję. Porty i bulwary, lipki od smoły i gumy, składy czarne, warsztaty zgrzytające, czerwone kuźnie, wasza gigantyczna robota zaciska ze wszech stron węzły, odkąd złoto na ziemi zaczęło złoto niebios. Jest to złoto życia lub złoto śmierci, złoto liryczne, które okrąża Azję i przenika do Afryki — złoto z za Oceanu, złoto od białych biegunów po rude ekwatory — złoto, lśniące na gloriach, na nieszczęściach i klęskach. — Złoto, które obraca się naokoło wieków, jak gwiazdy. — Złoto jednomyślne i jasne, które przewodził uprząż od morza do morza, od lądu do lądu, gdzie maszt się wznosi czy szyna w dal wyciąga.

(c. d. n.)

15)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

W samej rzeczy stosunek, jaki się nawiązał między piękną polką, a włoskim konspiratorem, wyszedł po za granicę zwykłego, salonowego flirtu. Dziwnym trafem zachowała się w sekretach aktach policji, zabrana Confalonieremu wraz z innymi papierami przy domowej rewizji, długa, sentymentalna korespondencja księżnej: istny romans psychologiczny, wpleciony w suchą prozę politycznych dokumentów.

Stylowa przyjaźń „pięknych dusz“ przeniknięta ze strony kobiety zwłaszcza, głębszym uczuciem.

Księżna, którą Capponi zwał „aniołem dobroci, roztropności i wdzięku“ nie była szczęśliwa z mężem, lekko- duchem, oddanym nałogowi karciarstwa. Natura tkliwa, marzycielska, stygmatem wczesnej śmierci naznaczona, poddała się urokowi władczej indywidualności hr. Fryderyka. Podniosła ją, jak mówi, w jej własnych oczach przyjaźń, jaką jej okazywał ten niepospolity człowiek. „Cet être si distingué, cet ami incomparable.“ W długich rozmowach, ustnych i piśmiennych, skrzących się to dowcipem, to sentymentem, rozwijała się jej subtelna inteligencja; piękny włoch był

odmienny od jej banalnego otoczenia i pociągający, jak jakiś rycerz z poematu Bajrona.

Sercem polki odczuwała szlachetność jego zamierzeń, dreszcz przenikał na myśl o nieszczęściu, jakie może zawiść nad tem nieugiętym czołem. Wiedziała od męża i od Capponiego, że Confalonieri waży się na grę niebezpieczną. „Les résolutions violentes de votre caractère inquiet et malheureux meffrayent.“ „Zła głowa“ *) oto przydomek, jaki dostaje się Fryderykowi w makaronicznej mieszaninie jej listów francuskich, przetykanych włoskimi i polskimi słowami. Drży o przyszłość Teresy, którą bardzo kocha „que j'aime de tout mon coeur.“ Ale w pieczętce, jaką sobie obrała za godło, trójca najściślej, związana przyjaźnią, są tylko: trzy C (Carolina, Confalonieri, Capponi), brak tam inicjałów Teresy.

*) Każe mu uczyć się historii polskiej: il faut bien, zła głowa, que vous connaissez l'histoire de votre pays... Ce qui ne veut pas dire — poprawia się — que la Pologne soit exclusivement le pays des mauvaises tête“.

„W pakcie naszym postanowiono, aby nikomu przykrości nie robić“, pisze ks. Jabłonowska, a jednak Teresie krzywda się działa. Słabą rekompensatą były dla niej hołdy „lwowskiego dandysa“ ks. Ludwika i entuzjastyczna przyjaźń dobrej Zosi Woynianki.

Idylla podróży, tak promiennie rozpoczęta, kończy się bolesnym dyssonansem. Z listów ks. Jabłonowskiej dowiaduje się czytelnik z przykrością, że pod koniec 1816 roku, Confalonieri był prawie zdecydowany na rozstanie się z żoną.

Nie było w tem jednak winy romantycznej przyjaciółki, ani licznych neapolitańskich wielbicielek, oczarowanych magnetyczną siłą szafirowych oczu hrabiego Fryderyka.**)

Prawdziwą rywalką Teresy, kobietą, która poważnie zagroziła jej domowemu szczęściu, była dama medjolańska: margrabina Beatrice Fri-

***) Księżna Karolina liczy do nich nawet niemłodą już księżnę Marję Wirtemberską, siostrę ks. Adama Czartoryskiego i żartobliwie pisze, że z tego „febliku“ dostojnej autorki gotowa powstać druga „Malwina czyli domysłność serca“.

vulzio Serbelloni, bujna i zmysłowa piękność: „Bogini”, Diva o czarujących kształtach i ambitnej, pozbawionej wszelkich skrępułów, duszy.

Kobieta zła zwyciężała dobrą, bezbronną przez swą szczerotę, czującą głęboko, a „nie umiejącą mówić o tem, co czuje”, kobietę kochającą, której miłość była prosta, jak chleb powszedni i dlatego nie wystarczała — smakoszowi.

Teresa instynktownie nie znosiła Beatryczy, z którą stykać się musiała często, gdyż obracały się w tem samym kółku towarzyskiem, a na dworze wicekróla markiza była jej koleżanką. Zdaje się jednak, że do końca nie знаła całej prawdy, o której świadczą krótkie, poufałe, przeskakujące z „wy” na „ty”, listy kochanki, leżące w archiwum policji austriackiej, obok długich i wytwornych listów — przyjaciółki.

Pani Karolina chciała być Egerją i aniołem opiekuńczym, uspokajającym fantastyczne rojenia przyjaciela, ale nie chciała unieszczęśliwić Teresy, którą „kocha z całego serca”. I robi sobie wyrzuty subtelne, czy przypadkiem na ochłodzenie stosunku między małżonkami nie wpłynęło porównanie, jakie robić mógł hrabia miłujący nią, „ozdobioną wszystkimi ułudami jego wyobraźni, a żoną, która — powtarza to — jest więcej, daleko więcej od niej warta!”

„Co do rozwodu — pisze dalej — kwestja to zbyt delikatna, by coś doradzać można, zresztą zdaje się, że pańska decyzja jest nieodwołalną. Staraj się przynajmniej, w interesie was obojga, zachować pozory”.

Gdy do zerwania oficjalnego nie doszło, księżna cieszy się z tego i daje Fryderykowi rady bardzo rozsądne, choć kto wie, czy zupełnie szczerze, by „przestał gonić za nieuchwytnymi marami, a zadowolił się szczęściem, które ma jeszcze blisko: „a la portée de main”.

Teresa wiedziała oddawna, że mąż nie jest jej wierny. Dla nikogo nie były tajemnicą jego liczne flirty; on sam wyznawał w liście do Hugona Foscolo: (również konesora w tej mierze) „wonią i balsamem naszego życia są łaski płci pięknej. Lady Sydney Morgan, słynna podróżniczka, zobaczywszy raz hrabiego z jakąś uroczą nieznaną, pisze mu w żartobliwym postscriptum, które „może podrzeć, zanim list pokaże żonie”: „Au bout du compte, je crois que vous êtes un coquin!”

Z wyrozumiałością, którą ganiły przyjaciółki, traktowała Teresa te fantazje ubóstwianego męża, ufając, że zawsze wróci on do niej, najlepszej towarzyski i niezastąpionej współpracownicy. Nie była już jednak, po dziesięciu latach pożycia, tą rozżaloną i namiętnie oburzającą się na opuszczenie młodą duszyczką i, świadoma swej własnej wartości, ze smutkiem i godnością potrafi wyrzucić mężowi, że zapomina nawet o należnych jej przed światem względach. „Nikommu już nie są tajne — pisze gorzko — twoja niechęć i lekceważenie dla mnie.”

Że smutne i niesprawiedliwe zaślepienie Fryderyka nie doprowadziło

do katastrofy, zasługa to była babki, dobrej i mądrej staruszki, mającej na wnuka wpływ wielki. Niepokojny duch „jak żóraw manją podróżniczą opętany”, udał się znów w dłuższą podróż, ale — sam jeden.

Listy hrabiny Teresy z tego czasu są rzeczowe i suche, jak raporty intendenta. Ożywia się tylko, gdy mówi o piśmie, wydawanem przez grono patriotów lombardzkich, z wybitną pomocą hrabiego. Był to słynny „Conciliatore”, który miał z czasem na Spielberg zaprowadzić swoich redaktorów i współpracowników, a obecnie walczył po bohatersku z nożycami cenzury austriackiej.

„Mąż mój podróżuje i nie pisze wcale, kiedy wróci”, donosi sucho przyjaciółce hrabina.

Dopiero jedna krótka karteczka, w jesieni 1818 r., innym odzywa się tonem. Musiał Confalonieri wejść w siebie, musiał w oddaleniu poddać swój stosunek do żony jakiejś gruntownej rewizji, gdyż ona, napisawszy mu w poprzednim, a niezachowanym liście „wszystko to, co winna była swojej i jego godności”, wszystko, co miało mu dowieść, że w przeszłości nie była „ani ślepa, ani nieczuła”, teraz „chce słuchać jedynie głosu swego serca i najbardziej rada odpisać w dwóch słowach”.

Dwa słowa końcowe są też treścią listu i są jakby otwarciem przebaczących i wiecznie miłujących ramion: „Wróć do mnie! Vieni a me!”

(c. d. n.).

K. Bielańska

3) CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

Nie wypływa wszakże z tego, aby wychowanie, jak chce wielu krańcowych fatalistów, miało być wogóle zbędnem. Bynajmniej. Klasyczną jest pod tym względem teoria Spencera, uzasadniająca konieczność wychowania prawem biogenetycznym, które głosi, iż im bardziej złożony jest organizm, mający być stworzonym, tem dłużej trwa okres zależności jego od organizmu macierzystego z powodu konieczności żywienia go i zabezpieczenia przed wpływami zewnętrznymi. Prawo to — zdaniem Spencera — dotyczy zarówno rozwoju ciała, jak i ducha, bowiem i co do pokarmu duchowego, z którego korzysta każde stworzenie, stojące na wyższym stopniu rozwojowym, zatem w pierwszej linii człowiek, zależny on jest w pierwszym okresie swojego życia, od pomocy dorosłych. Niemowlę zarówno niezdolne jest do samodzielnego zdobywania środków odżywczych dla ciała swojego, jak i wielu niezbędnych, umożliwiających mu istnienie, wiadomości. Mowę np., za pomocą której zdobywa ono wszelkie wyższe pewniki i prawdy, zawdzięcza dziecko najzupełniej swojemu otoczeniu. Łatwo

stwierdzić można na przykładzie ludzi dzikich, wychowanych w lasach, wyłącznie wśród zwierząt, jak upośledzonym, jeśli nie zahamowanym zupełnie staje się rozwój człowieka, o ile rodzice, karmicielka czy wychowawczyni nie udzielą mu swojej opieki i starań.

Oczywiście powyższe twierdzenia Spencera dotyczą jedynie najwcześniejszego dzieciństwa oraz naturalnego, nieświadomego wpływu na nie otoczenia.

Wychowanie wszakże we właściwym znaczeniu swoim ma zakres nieskończenie szerszy. Jest ono świadomym i celowym wpływaniem na rozwój urabiającego się człowieka, na rozwój wszystkich, drzemających w stanie potencjalnym w organizmie jego sił i uzdolnień, na przytłumianie pryncypialnych przez nie na świat skłonności i popędów ujemnych i wreszcie na zachowanie dziecka przed wpływami i czynnikami szkodliwymi. To ostatnie zwłaszcza zadanie wysuwa się dzisiaj na czoło wobec niezliczonych niebezpieczeństw, jakie sprowadza coraz bardziej skomplikowane życie obecne, szczególnie życie w miastach.

Formalnym celem wychowania w okresie najwcześniejszym jest usamodzielnienie wychowawca, uzbrojenie go we wszelkie możliwości i warunki niezbędne, aby mogło ono w czasie właściwym urzeczywistnić swoje przeznaczenie życiowe.

Trzy są zasadnicze momenty, które uwzględnić winno wychowanie, pojęte w sensie bacznej obserwacji dziecka i rozumnego kierowania niem od chwili jego narodzin: *dziedziczność, przystosowanie i sugestja*.

Rozpatrzmy każdy z nich po szczególności.

Dusza noworodków nie jest, jak to przyjmowali dawniejsi pedagogowie, *tabula rasa*, na której odcisnąć i zapisać można wszystko, co utrwalić pragnie wychowawca. Duchowa istota rodzącego się człowieka jest sumą drzemających w niej sił potencjalnych, które rozwijają się siłą naturalną i bez postronnego wpływu i udziału. Dziecko nie jest nagle powstałą istotą oderwaną, lecz jedynie jednym z drobnych pędów wielkiego drzewa, gałązką, wyrosłą na pniu tysiącletnim. Najważniejsze i decydujące podstawy

przszłego swojego rozwoju przynosi ono z sobą odrazu już na świat. Wszelkie środki późniejszej jego istoty tkwią w niem już z przyrodzenia. Jak ziarno, rzucone przez nas w ziemię, posiada już w sobie zaród całej swojej siły żywotnej i wszystkie własności specyficzne, które wpłyną w następstwie na urobienie z niego takiej czy innej rośliny, tak samo w dziecięciu nowonarodzonem tkwi w zarodku wszystko, co potrzebne jest do rozwoju jego osobowości, wszystko, co uczyni go członkiem rodziny i społeczeństwa.

Niezaprzeczalny fakt dziedziczenia cech występuje jako najpotężniejszy czynnik rozwoju każdej jednostki ludzkiej; zakreśla on niewątpliwie wychowaniu pewne szranki, których nie może ono przekroczyć, bowiem wszelkie najdalej idące zamierzone czy spodziewane postępy wiedzy biologicznej nie będą nigdy w stanie skutecznych, aby drogi, przejawy i zakres dziedziczenia zupełnie mogły nam być wyjaśnione.

Z tajemniczą, niezbadaną tą potęgą dziedziczności musi stale liczyć się pedagogika praktyczna. Gdyby jednak dziedziczność być miała jedynym czynnikiem rozwoju człowieka, byłyby, jak to już zaznaczyliśmy, wszelkie zabiegi wychowawcze niemożliwymi, a nadewszystko bezcelowymi. Na szczęście jednak, zna nauka od czasów Lamarcka, a za nim Darwina biogenetyczne prawo przystosowywania; stanowiące w procesie rozwojowym czynnik postępu i przeistaczania się, stający do walki z konserwatywną tendencją dziedziczenia. Owo przy-

stosowanie dopiero umożliwia pracę wychowawczą, czyni ją celową i owocną, jakkolwiek zakreślona pewnymi naturalnymi granicami, uwarunkowanymi przez dziedziczenie.

Ztąd naczelne zadanie pedagogiki: badanie możliwości psychicznego zastosowania się w najszerszym tego pojęcia zakresie. Jeśli bowiem wychowanie nie ma ograniczyć się na stronie czysto zewnętrznej, lecz sięgać do głębszego rdzenia tworzącej się istoty, winno ono wpływać na wrodzone jej skłonności i popędy w ten sposób, aby nadać im właściwy, prowadzący do pożądanego rozwoju, kierunek.

Instynkty, dziedziczone z pokolenia na pokolenie, są niewątpliwie najbardziej podstawowymi, najtrwalszymi składnikami ducha, i one wszakże mogą skutecznie być poddane wpływom przystosowania, jak to stwierdzają liczne już dzisiaj badania i obserwacje.

Dzikię zwierzęta zatracają pod wpływem osuwania—a więc przystosowywania do zmienionych warunków życia — pierwotne swoje instynkty, i to tem zupełnie, w im wcześniejszym okresie ich życia zaczęła się ta praca osuwania. Jeśli więc pod wpływem odpowiedniej tresury — zatem wychowania — dają się przeistaczać tak głęboko zakorzenione i tak potężne skłonności, jak instynkt zwierząt, tem bardziej więc wskazane jest poddawanie wpływom wychowania nowonarodzonej jednostki ludzkiej.



KAZIMIERZ ROGALA-KOSIŃSKI

KOBIETA KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

*) 日本女カコシンスキ

1. Wpływ zachodu na życie społeczne w Japonii. 2. Żona a geisha. 3. Wszystko dla geish. 4. Geishe mają więcej swobody w wyborze kochanka, niż dziewczęta w wyborze męża. 5. Cechy charakteru geish i tancerek. 6. Geishe wyciskają łzy małżonek i matek. 7. Prostyucja w Japonii. 8. Yoshiwara, Fukagawa, Shimabara, Shimbashi, Yanagibashi, Gion. 9. Handel córkami. 10. Los i zasługi sprzedających się z poświęcenia. 11. Ustawy i dekrety rządowe zabraniają tylko w teorii handlu żywym towarem. 12. Wielkie i głębokie poczucie obowiązku i głęboko rozwinięty kult zmarłych, a poświęcenie. 13. Poniżenie kobiet w Japonii jest głębsze, niż w Europie. 14. Nierządnicę japońskie zachowują szlachetność charakteru i dobroć. 15. Przywoite i skromne zachowanie się nierządnic japońskich.

W ostatnich czasach wpływ Zachodu odbił się znacznie na życiu społecznym kraju wschodzącego słońca, przejawiając się nawet w dramacie, komedji, a nawet całej sztuce tak zresztą dalece, że niektórzy z autorów pozwolili sobie umieścić na scenie kobietę ze sfery nie potępionej. Komedje tego rodzaju przewyższają wszystkie inne niemoralnością i oprócz zdrady i wiarołomstwa, tak pożądanego na naszych scenach, niema tam nic więcej. A najdziwniejszym jest to, że gdy aktorzy w uplastycznieniu najjaśniejszych scen takiej komedji posuwają swobodę aż do próżności, publiczność, złożona w większej części z kobiet starszych i młodych, miejscą najdrażliwsze przyjmuje nieokielzanym śmiechem.

Pewien romansopisarz japoński rzekł: „U nas żona legalna jest tylko domu, jego kolumną z drzewa surowego lub polerowanego, — kochanki nasze i geishe są to kakemono (jedwabne zwoje na listewce szkla-

Dusza człowieka jest niewątpliwie nie mniej, niż instynkt zwierzęcy, podatna na wpływy, zmierzające świadomie i wytrwale w jednym i tym samym kierunku. Zacząć należy od oddziaływania na popędy, tkwiące głęboko w naturze człowieka. U małego dziecka popędy te odgrywają rolę najpotężniejszą, występują najwyraźniej. I właśnie dla tego w tym okresie życia jest dziecko najbardziej podatne na wpływy wychowania, o ile wychowanie to w rozumnym swoim założeniu nawiązuje ściśle kierunek swoich wpływów do wrodzonych popędów dziecka, jakie poznać można na zasadzie zebrania dokładnej anamnezy, dotyczącej możliwości dziedzicznych, oraz czujnego obseiwowania dziecka już w najpierwszym okresie jego życia.

Tak właśnie rozumiał zadanie wychowania Lessing, mówiąc, że „wychowanie nie daje dziecku nic, czego nie ma ono z siebie samego”. Zadaniem wychowania jest właśnie najbujniejsze rozwinięcie przyrodzonych zadatków i popędów, z jakimi dziecko przyszło na świat.

Wiele wad i zboczeń dzieci najmniejszych, przyczyniających w następstwie rodzicom i wychowawcom tyle trosk i kłopotów, można łatwo usunąć w tym najpierwszym okresie. I nie tylko wad takich, jak lekceważenie i zaniedbywanie obowiązków, nieposłuszeństwo, upór, znane okrucieństwo dzieci, ale nawet tak często przejawiające się u wielu dzieci skłonności do kłamstwa, do świadomego oszukiwania i przyswaania sobie cudzej własności.

(c. d. n.).

Emilja Tecka

nej lub z kości słoniowej, w środku których mieści się obraz na jedwabiu albo cienkim papierze), które zawieszamy w naszych alkowach, stosownie do naszego kaprysu, chwili dnia lub pory roku.

Japończycy mają duszę zbyt artystyczną, aby gardzić kakemono lub też zbierać je o ile możliwości w największej kolekcji.

Najładniejsze i najkosztowniejsze z pomiędzy tych kakemono są niewątpliwie geishe. Malarstwo, taniec, muzyka, poezja, etykieta, wszystkie sztuki piękne Japonii przyczyniły się do wytworzenia tych niezwykłych kobiet. Dla nich właśnie jedwabniki wysnuły swój jedwab najcenniejszy; dla nich tkacze utkali materje najbogatsze i najładniejsze, dla nich malarze-dekoratorzy wymalowali najpiękniejsze pasy (Obi), dla nich górniczy wydobyli z łona gór największą ilość złota. Geishe mają więcej swobody w wy-

*) Tytuł i nazwisko autora.

borze kochanka, niż młode dziewczęta w wyborze męża.

Tancerki te i muzykantki, okrutne i czule zarazem, posiadają często całą bezinteresowność rzeczywistego uczucia, oraz całą nieprzebraną ilość wyrafinowanych wybiegów i niezwykle sprytnych sposobów wiarołomstwa. Wiedzą one dokładnie, co je czeka w przyszłości i zdają sobie szczegółowo sprawę z losu, jaki im życie przyniosło, ponieważ przekonane są, że serce kobiety japońskiej przypomina roślinę, kwitnącą na powierzchni wody, serce mężczyzny zmienne jest, jak pogoda jesienna.

Gdy los, którego Japończycy się boją, ale równocześnie uwielbiają, chce przepelnąć miarą swych przestępstw, przemienia się w geishę. Doprowadzają one do bankructwa synów najzaciejszych rodziców; one wyciskają łzy z oczu matek i małżonków. Spotkać je można wszędzie: na ulicach, po których przewożą je prędko kurumowie (jinrikishe) (wózek na dwóch dużych kołach, który ciągnie zazwyczaj chińczyk), w restauracjach, na zebraniach prywatnych i uctach urzędowych, dookoła młodych ludzi i wybitnych osobistości.

Niżej od instytucji geishigeiko stoją zamknięte w ciasnych ścianach, wyłożonych wielkimi zwierciadłami lub parawanami w złote i srebrne blaszki, malowane i świetnie postrojone oirany; zajmują one zazwyczaj część miasta, specjalnie dla nich przeznaczzonego.

Prostytucja jest w Japonii jedną z „instytucji narodowych“. A mimo to prostytucji w dosłownym znaczeniu tego słowa w Japonii niema, ponieważ jawna prostytucja na ulicach jest wzbroniona. Domy nierządu zastępują kawiarnie i restauracje: w Tokio jest ich przeszło dwieście. Domy publiczne posiadają koncesje ściśle ograniczone. Każde miasto posiada kilka takich domów, które znajdują się w dzielnicach, specjalnie na ten cel przeznaczonych. Od najdawniejszych czasów dzielnicą taką w Tokio jest Yoshiwara i Fukagawa. Pierwsza znajduje się w okolicy świątyni Asakusa, a druga po drugiej stronie rzeki Sumida w pobliżu jej wybrzeża. Ponadto, Tokio posiada jeszcze kilka mniejszych dzielnic miłości, rozkoszy i wesela.

W Kioto najslawniejsze przedmieście jest Shimabara. Typy geish, znane w Europie z operetek Sulliwana, w wielu wypadkach nie są tylko artystkami, które bawią gości śpiewami i tańcami, ale często zajmują miejsce, podobne do greckich heter. Mieszkają one w specjalnych dzielnicach, często w tych samych, gdzie zamieszkują zwykle prostytutki. Niektóre z takich dziewcząt posiadają nawet, podobnie jak u nas, świadectwa reglamentacyjne, pozwolenie na prawo uprawiania swego rzemiosła, jako geishy. Pozwolenia te nazywają w Japonii nimai kansats',

co oznacza „podwójne pozwolenie“. Dzielnic takich w Tokio jest wielka liczba, najslawniejsze są w Shimbashi, w pobliżu dworca tej samej nazwy, i Yanagibashi, w pobliżu mostu Riogoku, rzeki Sumida.

Najbardziej znaną dzielnicą geish w dawnej stolicy, Kioto, jest dzielnica, zwana Gion, znajdująca się w pobliżu parku Maruyama.

Z pośród dziewcząt japońskich, przebywających w domach nierządu, niema ani jednej, któraby dobrowolnie oddawała się haniebnemu rzemiosłu. Zazwyczaj ojcowie prosto sprzedają swe córki albo wynajmują na pewien przeciąg czasu za pewną mniejszą lub większą kwotę, oddając je tam od dzieciństwa. Sprzedane dziewczę japońskie znajduje się w takim domu zwykle dołąd, aż zbierze tyle pieniędzy, by móc zwrócić sumę, straconą na jej utrzymanie i ubranie przez właścicielkę takiego domu i wówczas dopiero może się wy dostać z tej ohydnej niewoli. Zazwyczaj dziewczę japońskie, znajdujące się w instytucji miłości i rozkoszy, wyzyskiwane jest nieustannie na każdym kroku do takiego stopnia, że pozostaje najczęściej aż do zgonu, w tem haniebnym więzieniu.

Starożytni prawodawcy Japonii zmuszając dzieci do płacenia długów rodzicielskich, uświęcili tylko powagą kodeksu cywilnego, prawo moralne shintoizmu.

W czasach odległych, kiedy się można było sprzedawać i kiedy wyrzeczenie się swobody osobistej dla motywów chwalebnych nie pociągało za sobą infamii, postanowiono, że dzieci, sprzedające się dla dobra swych rodziców, zostają zdegradowane społecznie; a to dlatego, ażeby czułość dziecięca była zawsze gotową do abnegacji najcięższych i żeby ceną najwyższego cierpienia podnieść wartość zasługi.

Wprawdzie ustawy, uchwalone przez parlament, dekrety Mikada zabraniają w teorji ohydneho handlu żywym towarem, ale w praktyce nie wydały one żadnego rezultatu i nie zmieniły w niczem stanu rzeczy. Nawet sprzedaż dziewcząt japońskich przez ich rodziców obecnie jest przez prawo zakazana, faktycznie jednak instnieje.

Jak wielkie jest i głębokie wogóle poczucie obowiązku w życiu narodu japońskiego, jako najgłówniejszej cechy teorji konfucjonizmu oraz miłości dzieci do swych rodziców i jak rozwinięty gięboko jest kult zmarłych, świadczy najdokładniej fakt, że przybyłe do wioski japońskiej dwie djakonise angielskie w celu głoszenia

wiary chrześcijańskiej, stosownie do rozpowszechnionego mniemania, sądziły, że pewna ilość pieniędzy, umiejętnie rozdana, usunie trudności na drodze, wiodącej do serc. Istotnie, djakonise znalazły młodą dziewczynę, sierotę, obciążoną długami, która za dziesięć yen pensji miesięcznie dała się nawrócić i przyjęła chrześcijaństwo.

Pewnego razu djakonise znalazły w kącie pokoju dziewczyny tabliczki pogrzebowe jej rodziców, których neofitka nie miała odwagi się pozbyć. Protestantki angielskie nie posiadały grzecznej tolerancji, wobec czego oświadczyły, że przestaną jej wypłacać rentę miesięczną, jeżeli te tabliczki nie znikną z jej mieszkania. Dziewczyna, która liczyła na tę rentę, ażeby móc zapłacić długi, zgodziła się i na to najwyższe poświęcenie, lecz wkrótce wioska cała dowiedziała się o tej strasznej profanacji. Nikt nie miał jej za złe, gdy przyjmowała religję chrześcijańską, ale od chwili, w której zgodziła się na usunięcie świętych tabliczek po jej przodkach wszyscy się od niej usunęli, nawet dzieci unikały potępionej. Tymczasem djakonise zostały odwołane przez swe władze, o czem zakomunikowały nawróconej dziewczynie japońskiej.

Wiadomość ta wywarła strasznie przynębiające wrażenie na neofitce, która, tłumacząc swe rozpaczliwe położenie, oświadczyła, że ponieważ nie posiada nic, prócz swej własnej osoby, będzie więc zmuszona sprzedać się w celu spłaty długów.

Oburzone do głębi angielski ze zgrozą wykrzyknęły: — Idź precz, wstrętna istoto, zgubiona na zawsze.

Dziewczyna z uśmiechem na ustach skłoniła się do ziemi i poszła wprost do jakiejś herbaciarni. Pomimo jednak piękności nie chciano jej tam przyjąć, wiedziano bowiem o popełnionej przez nią zbrodni i obawiano się, że żaden z klientów nie przestąpi ich progu, jeżeli go przekroczy dziewczyna winna świętokradztwa. Zmuszona więc była udać się do odległej Yoshiwary i tam drzy zapewne z obawy, że jakiś przechodzień z jej stron pozna ją kiedykolwiek i zdradzi starannie ukrytą tajemnicę.

Pomimo to wszystko, pomimo nawet wielkiej ilości prostytutek w kraju wschodzącego słońca, nikt w Japonii fatalnych tych stosunków nie uważa za niegodne cywilizowanego narodu. Naodwrot poníženie społeczne kobiety kraju wschodzącego słońca jest giębsze niż w Europie i Ameryce, nawet tamtejszych nierządnic. Nie zważając na brak szacunku, jaki znajduje w towarzystwie japońska prostytutka w przeciwieństwie do swej siostry europejskiej, zachowała szlachetny i dobry charakter, co w pojęciu Zachodu nie jest zupełnie możliwe. Względem mężczyzn dziewczęta te w Japonii zawsze są usługowe, nawet w dzień odznaczają się zachowaniem skromnem i przywoitem.



IWO DE JOANNIS

2)

Popołudnia niedzielne bracia spędzają w domu, wnosząc w jego spokojną atmosferę niepokohamowany ruch i energję swych młodzieńczych temperamentów. Hałaśliwość ich była często powodem wymówek ze strony matki, zmęczonej zajęciami domowymi. Chłopcy wynaleźli sobie tedy „swój kącik“ na poddaszu, gdzie spędzali większość przeznaczonego na rekreację niedzielną czasu. Żywa ich pobożność podsunęła im myśl zainstalowania w tem ich niepodzielnem królestwie kapliczki, gdzieby mogli odmawiać swe pacierze. Budują tedy z desek oszalowanie, tworząc maleńki pokoi, oświetlony znajdującem się pod dymnikiem okienkiem, ściany objijają niebieskim papierem w złote gwiazdki, umieszczają na ołtarzu posążek M. Boskiej i nadają kapliczce szumny tytuł: „Kaplicy M. Boskiej, Pani Niebios“. — Tam już czują się zupełnie u siebie. Zanoszą ukochanej Matce wszelkie swoje prośby i zmartwienia, wyśpiewując, na jej cześć ułożone przez siebie piosenki, wykrzykując je na cele gardło. Matka Boska słyszy wszystko, wszystko przyjmuje i nigdy się nie gniewa na Swoje dzieci...

W tej to kapliczce przyszedł kiedyś chłopcom do głowy pomysł bardzo piękny i obfity w dobre skutki. — Szlachetne postanowienia panowania nad wadami dziecinnymi rozbiły się często o tę właśnie żywość ich temperamentu, która stanowiła nieraz przedmiot utyskiwań ze strony wychowawców. Pewnego dnia pani de Joannis strofowała synów za jakieś przewinienie, Janek, całując ją w rękę, powiedział z pokorą: „Mamusi, chciałbym cię prosić o pozwolenie założenia razem z lwonem stowarzyszenia, które miałyby na celu uczynić nas grzeczniejszymi“. — Doskonała myśl! odparła matka, nazwijcież tedy wasze stowarzyszenie z wiązkiem wyrabiania w sobie energji, bo naprawdę macie jej zamało, kiedy chodzi o poprawienie się z waszych wad“.

W godzinę potem chłopcy przynieśli matce „projekt statutu stowarzyszenia“, który brzmiał jak następuje:

„1. Celem stowarzyszenia jest przewyciężenie samego siebie, wyrabianie w sobie energji w walce ze swemi wadami i pokusami złego ducha.“

2. Protetktorami Stowarzyszenia są: Najśw. Marya Panna (M. Boska, Pani Niebios), św. Franciszek z Assyżu, św. Ignacy, św. Teresa.

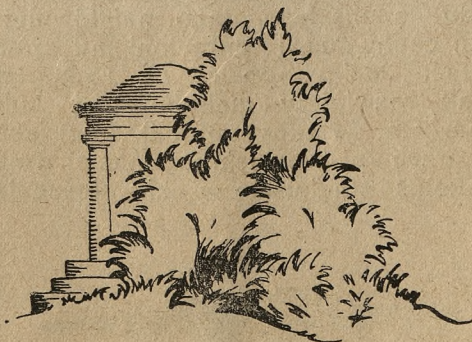
3. Do stowarzyszenia należeć może każdy, kto wykaże się tego godnym przez swą wolę, energję w walce ze swemi wadami, oraz złoży piśmienną uroczystą prośbę o przyjęcie. Prośba ta złożoną zostanie na wieczne czasy na ołtarzu Matki Boskiej, Pani Niebios“.

Pani de Joannis wzięła na serio projekt swoich synów. „Stowarzyszenie Energji“ zostało potraktowane zupełnie poważnie, a jeden z krewnych młodych założycieli, ks. Józef de Joannis, ofiarował się być spowiednikiem, kierownikiem duchownym i jałmużnikiem stowarzyszenia. Członków wciąż przybywało; założyciele werbowali ich wśród kolegów szkolnych, krewnych, a także ubogiej dziatwy nantejskiej. Nieoczekiwanym zaszczytem dla stowarzyszenia było przystąpienie do niego kilku wybitnych księży, między innymi prałata Jego świętobliwości, Mgr. de Rosnay, który przysłał błogosławieństwo Ojca św. temu młodziutkiemu zgromadzeniu. „Dzieło to“ mówił ks. de Rosnay „odpowiada prawdziwie duchowi epoki: potrzebie energji i siły w walce ze złem i propagowaniu dobra“.

Praca w Stow. była ściśle praktyczna. Członkowie zbierali się co niedziela i wyznaczali sobie „tematy do pracy“ na cały następny tydzień. I tak ćwiczone się na przemian w „posłuszeństwie“, w „łagodności w stosunku do najbliższych“, w „porządnym zachowaniu się w szkole“, w „mówieniu najściślej prawdy bez cienia kłamstwa“, i t. d. i t. d.

Łatwo zrozumieć, jak wielki wpływ wywierały na dusze dziecięce te praktyki, przez nich samych obmyślane i stosowane. To też nauczyciele jednogłośnie przyznają młodemu de Joannis coraz większy postęp w wyrobieniu charakteru i umysłu. Iwo zdaje celująco egzaminy do następnej klasy i zapisuje z tryumfem w protokółach stowarzyszenia: „Modliłem się do M. Boskiej o pomoc w egzaminach. Zdałem ze wszystkich przedmiotów na piątki i jestem pierwszym uczniem w klasie“.

Jednocześnie z rozwojem duchowym wzrastają i zamiłowania naukowe. Iwo z pasją ugania się za motylami, żabami, kolekcjonuje zwłaszcza jaszczurki i gady. Ku wielkiemu przerażeniu matki przynosi kiedyś do domu dwie żywe żmije, trzymając je w rękę za końce ogonów, bo, jak powiada: „wiem z doświadczenia, że żmija nie może się podnieść do góry“.



więcej, niż o jedną trzecią swej długości“. Widzimy tu już zadatki tej niezwyklej w tak młodym wieku odwagi, która potem pozwoli młodemu żołnierzowi stać spokojnie pod grudem kul nieprzyjacielskich...

W listopadzie 1905 r. spotyka Iwona cios najboleśniejszy w życiu: śmierć ojca. Kapitan de Joannis umiera, jak dobry chrześcijanin, błogosławiąc swym dzieciom i mówiąc: „Nie płaczcie. Odchodzę, lecz zostawiam wam lepszego Ojca, niż ja nim być mogłem. Pan i Bóg nasz czuwać będzie nad wami. Pamiętajcie kochać Go i nie schodzić nigdy z prostej drogi“.

Iwo kochał ojca miłością całego swego dziecięcego serca. Śmierć jego zrobiła na nim wrażenie, nigdy nie zapomniane. Po otrzymaniu błogosławieństwa umierającego, biegnie do swego pokoju i tam, na małej ćwiartce papieru, kreśli te słowa:

„Przy łożu umierającego ojca przysięgam, że będę się starał być wzorem dla wszystkich w moim życiu osobistem.“

Będę pracowitym.

Będę posłusznym w szkole i w domu.

Nie będę dumnym.

Nie będę łakomym.

Nie pójdę nigdy na spoczynek w stanie grzechu śmiertelnego.

Przysięgę tę stwierdzam własnoręcznym podpisem i przypieczętowuję krwią własną“.

Ileż to dzieci składa podobne przysięgi po to tylko, aby o nich w późniejszym życiu zapomnieć! Iwo jednak nie należał do tego typu. Od tej też chwili charakter jego formuje się i rozwija, nabierając coraz wybitniejszych cech męskości. Pozostanie nawsze tym samym dziecięco — czystym, pogodnym, żywym i wrażliwym chłopakiem, ale czarne jego oczy nabiorą wyrazu niedziecinnego już, świadomej siebie, dojrzałej powagi i mocy.

Ostatnie lata pobytu Iwona w Li-ceum poświęcone były, poza nauką, w której coraz większe czynił postępy, pracy, rzec można apostołskiej. Szereg konferencji popularnych dla ludności robotniczej i rzemieślniczej w Nantes, zorganizowany z inicjatywy miejscowego duchowieństwa, miał na celu pociąganie tej ludności ku Bogu i religii.

Oto jak Iwo sam określa tę pracę, w której sam niezmiernie czynny brał udział: „Zwracamy się przede wszystkim do tych, którzy nie uczęszczają do swego kościoła parafjalnego — chcemy bowiem ich tam zaprowadzić. Chcemy kształcić robotnika, nieznanego Boga: chcemy mu powiedzieć, czem jest nasza święta wiara“.

(e. d. n.)

Zofja B.

W SPRAWIE SŁUŻBY DOMOWEJ

(Na marginesie feljetonu pani Marji Grossek-Koryckiej p. t. „Świat Kobiety“).

W ważnej tej sprawie udzielamy chętnie głosu czytelnikom „Bluszczu”, w nadziei, że z rzeczowej i wyczerpującej dyskusji wyłonią się konkretne projekty, które dotkliwym niedomaganiom naszego życia położą wreszcie kres.

Redakcja.

Czytając „Bluszcz”, nieraz żałuję szczerze, iż oddalenie od Warszawy nie pozwala mi zobaczyć się z panią Grossek-Korycką i uścisnąć serdecznie, jak siostrę, za jej „Świat Kobiety”.

W „Świecie Kobiety”, jak w zwierciadle, odbija się życie współczesnej kobiety—z jej rozczarowaniami i radościami, trudem pracy zawodowej, morzem goryczy i słodyczy macierzyństwa i całym ogromem obowiązków, które kobieta bierze na siebie, wychodząc zamaż, bo warunki przez los jej wtedy zesłane, nieraz czynią jej życie tragicznym „bohaterstwem codzienności”.

W № 25 „Bluszczu” pani Grossek-Korycka poruszyła w swym feljetonie nader ważny punkt: kwestję służby domowej. Szanowna autorka pisze: „W Paryżu nie trzymać służącej nie znaczy to samo, co nie trzymać jej w Warszawie”.

A ja dodam: „Nie trzymać służącej w Warszawie—nie znaczy to samo, co nie trzymać jej na prowincji np. w okręgach przemysłowych: Łodzi, Częstochowie lub w Zagłębiu Dąbrowieckim. Tam, przemysł przyciągnął do siebie wszystkie dobre służące domowe; pozostałe są parodią przedwojennej, dobrej służącej, a mają tak wygórowane żądania, iż źle płatna, pracująca inteligencja nie jest w możności na zbytek ten sobie pozwolić. Kto więc nie może płacić dużej pensji lub nie posiada dostatecznej cierpliwości, aby znosić towarzyswo osoby uperfumowanej, w modnych lakierkach, ale zupełnie nie wykwalifikowanej w swoim zawodzie, a w dodatku lekceważącej sobie otrzymaną zapłatę, uważając je jedynie za dodatek do swych innych „zarobków”—ten musi sam zaprząć się do orki domowej, co nie jest zabawą, zważywszy, jakie warunki życia mamy na prowincji, np. w jakiejś osadzie fabrycznej. Mieszkania duże o wielkiej ilości pieców (węgiel darmo); mnóstwo drobnych ubikacji (werendy, korytarze, schowanka), bardzo zresztą użytecznych w gospodarstwie, lecz obliczonych na przedwojenną ilość i jakość służby; w kuchni komin o 4 lub 6 fajerkach, o rusztach tak dowcipnie urządzonych, iż do ugotowania skromnego obiadu na 3 osoby

zużywa się 3—4 wiaderka węgla; po produkty trzeba chodzić dość daleko na targ lub jeździć koleją czy końmi do miasta, odległego 3—4 kilometrów; mięso kupować należy od razu na kilka dni, gdyż jatka nie codzień otwarta; przytem rzeźnicy mają tak słabe pojęcie o podziale mięsa, iż korzystniej jest kupować większe ilości i samej dzielić; odległość od miasta zmusza do pieczenia ciasta, ciasteczek, bułek, a nawet czasem i chleba w domu. Dodajmy jeszcze, że w miejscowościach fabrycznych obiad musi być na godzinę 12, a dzieci uczące się jeżdżą koleją do miasta, śniadanie więc musi być na godzinę 7 rano, a będziemy mieli całokształt warunków domowych, w jakich pędzi życie wiele inteligentnych kobiet.

Najświętszym obowiązkiem kobiety jest wychowanie dzieci. Czy może dobrze wychowywać dzieci kobieta, która musi obsłużyć cały swój dom w warunkach wyżej wspomnianych? Czy jej równowaga fizyczna i duchowa nie załamie się po kilku latach życia nie człowieka, lecz automatu pracy?

Kwestja służby domowej jest u nas palącą już od szeregu lat, lecz ogół kobiet biernie zachowuje się wobec niej; jednym jest tak dobrze, że mało je to obchodzi; drugim tak źle, że nie mają czasu myśli zebrać i zastanowić się nad reformą w celu poprawy losu kobiet pracujących w domu.

Samo na świecie nic się nie robi; chcąc więc, aby nam lepiej było, należy, nie zwlekając, zabrać się do dzieła. Mężczyzna nam nie dopomóż, gdyż albo jest egoistą i nie rozumie potrzeb kobiety, albo jest dobry, lecz tak zaabsorbowany własną pracą, która najczęściej nie wystarcza na utrzymanie rodziny, że z bólem serca i ambicji godzi się z tem, iż żona zarabia poza domem lub zabija się pracą fizyczną domową.

Kobieta polska nie jest przygotowana do pracy fizycznej, która podczas wojny zwała jej się niespodziewanie na barki. Jesteśmy przeważnie córkami matek, hodowanych, jak kwiaty w cieplarni. Anemiczna, niewy gimnastykowana — dzisiejsza Polka nie jest pod względem zdrowia typem dodatnim. Jeśli robimy, to co robimy—więcej w tem ambicji i konieczności, niż zamiłowania do ruchu i pracy ręcznej, która jest nieodzowną dla każdego normalnego człowieka, o ile

nie przekracza pewnych granic i nie jest połączoną z denerwującym pośpiechem.

Pani Grossek-Korycka słusznie przewiduje, że w niedalekiej przyszłości służącej nie będzie. W naszym interesie leży, aby to się stało jaknajprędzej. Będzie to wielka oszczędność pieniędzy i nerwów, które się szarpia niemiłosiernie w ciągłej styczności z osobą nieżyczliwą nam i obcą duchem. — Kwestję służby domowej należy zreformować według projektu pani Grossek-Koryckiej: jako pomocnicę lub zastępczynię w gospodarstwie mieć inteligentki, traktujące tę pracę, jako swój fach.

Kobiety ze względu na usposobienie i przygotowanie powinny się podzielić na domownice i fachownice. Domownice będą wyręczać kobiety, zajęte innym fachem lub dopomagać zbyt obciążonym w domu.

Cóż to byłaby za przyjemność podzielić swą pracę domową z kimś, kto nie patrzy na nas z niechęcią, kogo nie trzeba wciąż pilnować, a porozumieć się z nim łatwiej, jako zbliżonym kulturą umysłu i wychowania. Lecz gdzie szukać tych istot błogosławionych? Niejedna inteligentka umiera powolną głodową śmiercią, nie mogąc zdobyć odpowiedniego zajęcia; niejedna matka rodziny ugina się pod ciężarem obowiązków domowych—i cały dramat w tem, że nic o sobie nie wiedzą! Gdyby te dwie kobiety podały sobie rękę z tem poczuciem, że sobie serdecznie pomogą i podzielą pracę domową według sił, zdolności i zamiłowania — obie wygrałyby los na loterii: osiągnęły spokój w życiu codziennym. A ileż zyskałoby na tem wychowanie dzieci, które tak często, wskutek przepracowania matki, prowadzone jest dorywczo, bez myśli przewodniej!

Lecz jakżeż mają się odszukać owe kobiety, pragnące wzajemnej pomocy?

Proponuję, aby nasze cenne i kochane pismo kobiece „Bluszcz” otwoszyło stałą rubrykę ofert. Jako rzecz dalszą, lecz również konieczną, uważam otworenie kursów gospodarstwa domowego dla kobiet inteligentnych.

Dorzucam te myśli do projektu pani Grossek-Koryckiej w nadziei, iż znajdą one oddźwięk wśród czytelniczek „Bluszczu” — pisma godnie podtrzymującego dawne tradycje, a które jest nieocenionym skarbem dla dzisiejszej kobiety, gdyż budzi umysł, porusza duszę, w zwątpieniu niesie pociechę, a w smutku i zniechęceniu krzepi serce.

Wanda Jacobson-Skrodzka



Ś. P. KATARZYNA SKRZYŃSKA

Przed niewielu tygodniami na cmentarzu katolickim w Łucku przy był grób ś.p. Skrzyńskiej.

„Dalekie drogi prowadzą do Polski” — możnaby rzec za Żeromskim (Sułkowski)...

Katarzyna Skrzyńska urodziła się (1874 r.) tatarką i prawosławną. Ojciec jej posiadał majątek ziemski pod Moskwą.

Zmarła zaś, jako katoliczka i polka a dzieje jej życia były najczystsza, nieustannie czynną służbą Polsce Niepodległej...

Studując na uniwersytecie w Moskwie, młoda Katarzyna poznaje historię męczeństwa narodu polskiego. Wyobraźnia jej i serce przylgnęły nieodpornie do Sprawy. Wyzwolenie Polski, naprawienie krzywdy dziejowej w imię sprawiedliwości wśród narodów...

W roku 1904 Katarzyna zesłana została za „nieprawomyślność” do gubernji Wiatskiej. Wyszła tam za męża za polaka, p. Zygmunta Skrzyńskiego, poczem, odzyskawszy wolność, a nie chcąc żyć pod jarzmem carskiem, wyjechała wraz z mężem zagranicę.

Długie lata pp. Skrzyńscy mieszkali w Paryżu, gdzie pracowali oboje w Instytucie Pasteurowskim; on, jako profesor, ona, jako jego asystentka.

Na grunt gorącego umiłowania Polski, jedynej ojczyzny duchowej pani Skrzyńskiej, padły idee Józefa Piłsudskiego, wyczuła ich moc niezwykłą intuicją, bohaterkiem sercem i odtąd czeka tylko rozkazu. Wśród organizatorów ruchu strzeleckiego w Paryżu (1910) jest jedną z najgorliwszych, uczy się pielęgnowania chorych, przygotowując się do przewidywanych wypadków...

Dziesięć lat temu, gdy padło hasło wojny, pp. Skrzyńscy wyszli ze swego pałacyku paryskiego, zostawiając na zawsze i bez wahania poza sobą mienie, komfort i spokój życia codziennego.

Pojechali do Polski — wstąpili do tworzących się Legionów. Czyn ten dla Katarzyny Skrzyńskiej był jedyną właściwą drogą: nadszedł moment walki o niepodległość, poszła więc służyć pierwszemu żołnierzowi polskiemu z całą prostotą, z całym przekonaniem w słuszność obranej drogi, z wiarą w wodza i całym poświęceniem dla braci walczących.

Jeśli kiedyś napisana zostanie historia kobiet polskich w Legionach, rola Katarzyny Skrzyńskiej będzie jedną z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających. Ci, co ją znali, co wi-

dzieli ją przy pracy, ci, co zawdzięczają jej zdrowie i życie, poznali niezwykły, przezczysty charakter tej kobiety i niezmordowany dar wszystkich jej sił w pracy samarytańskiej.

Od października 1914 roku Katarzyna Skrzyńska, pielęgnując rannych chorych, wraz z żołnierzem legionowym przechodzi od Krakowa, Kęt, Jabłonkowa, Kamieńska etapy najcięższej okupionej sławy.

Dopiero rok 1917 i rozbitcie Legionów powoduje ustąpienie Katarzyny Skrzyńskiej; opuszcza szpital i odtąd mieszka w Puławach. P. Skrzyński zostaje profesorem Instytutu puławskiego, a żona, pracując również przy organizowaniu tej placówki, nie zaniedbuje nadal czynnego udziału w sprawach społecznych.

Jeszcze raz zerwała się Katarzyna Skrzyńska do obrony Ojczyzny. W r. 1920 podczas najazdu bolszewickiego tworzy w puławskim opiekę nad żołnierzem. Była już wówczas ciężko chora i stan jej wymagał operacji, jednak, gdy wróg podchodził pod stolicę, objeżdża wraz z mężem Puławskie, nie pomna na swe zdrowie i siły, nawołując do broni. Puławskie dało największą liczbę ochotników...

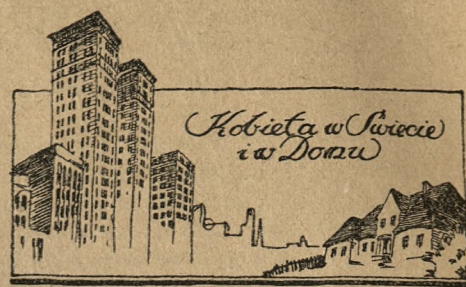
Zasługi Katarzyny Skrzyńskiej ocenione zostały przez ludzi idei — Jeśli natomiast były usiłowania poniżenia jej czynu i obarczenia jej kalumnją — to było to smutnym wynikiem niezdrowego partyjnictwa, w atmosferze którego rodziła się nasza państwowość. Ale dobroć i wielkoduszność Katarzyny Skrzyńskiej umiała te krzywdy znieść z pogodną wyrozumiałością.

Postępująca choroba raka niszczyła jej organizm, lecz nie mogła osłabić ducha. Katarzyna Skrzyńska, czując nadchodzący koniec, wyraża jedno pragnienie: pragnie przyjąć wiarę katolicką, bo chce tem zadokumentować zupełną swą przynależność do ukochanej ziemi polskiej. Życzeniu jej stało się zadość. Sakramenty święte z rąk jednego z najszlachetniejszych księży — patriotów były jej pociechą w cierpieniach, wywołanych chorobą.

Ostatnie jej słowa były:

— „Umieram, ale gdyby jakaś siła wyższa kazała mi na nowo życie zaczynać, wybrałabym tę samą drogę, jaką przebywałam, chociażbym wiedziała, jaki będzie mój koniec!”

Cześć pamięci tej Polki najgodniejszej! Cześć jej wielkiemu duchowi!



KOBIETA PRZED 4000 LAT.

Archeolog angielski, Sir Flynders, wydał obszerne dzieło, traktujące o położeniu kobiety w starożytnym państwie asyryjsko-babilońskim w r. 2100 przed naszą erą, a więc przeszło cztery tyciące lat temu. Opierając się na tekście pewnych napisów klinowych, opracowanych przez czeskiego archeologa, Dra Ilroznego, uczonego angielski rozpatruje przedewszystkiem prawo małżeńskie u starożytnych babilończyków i assyryjczyków. Prawo to było bardzo surowem dla kobiet; zwłaszcza niewierność żony karana była nadzwyczaj ostro. Mąż był odpowiedzialnym za wszelkie przestępstwa żony i sam był obowiązany wymierzać jej za nie właściwą karę. Zdarzył się np. wypadek, że pewna kobieta ukradła komuś jakąś rzecz domowego użytku, której wartość wynosiła 5 funtów ołowiu. Mąż jej musiał wypłacić poszkodowanemu tę sumę, ponadto jednak był obowiązany wymierzyć swej żonie karę, jakiej prawo żądało za podobne przestępstwo, a mianowicie — obciąć jej uszy. Ponieważ małżonek wzdragał się to uczynić, operacji dokonał sam poszkodowany. W wypadkach cięższego przestępstwa winna ponosiła karę obcięcia nie tylko uszu, lecz i nosa.

Mąż, który zastał żonę swoją samą w towarzystwie innego mężczyzny, miał prawo ją zabić. Kłótniwa żona można było oddalić, dzieci jej pozostawiając przy sobie. Po śmierci żony wdowiec mógł niezwłocznie pojąć w małżeństwo jej siostrę. Prawa asyryjskie uwzględniały bardzo wielką ilość powodów do rozwodu, były to jednak zawsze tylko powody na korzyść męża, nigdy zaś żony. Mąż, któremu żona zbrzydła z tych czy innych powodów, był tylko obowiązany przeprowadzić ją przed sędzię, a ten mu zawsze udzielał rozwodu. Natomiast żona nie miała prawa opuścić męża bez jego zgody: nawet prawnie rozwiedziona żona, o ile mąż nie zgodził się na opuszczenie przez nią domu małżeńskiego, musiała nadal przebywać w jego domu, już nie w charakterze małżonki, ale służebnicy; obowiązkiem jej również było usługiwać nowej małżonce, poślubionej przez swego dawnego męża, i wypełniać we wszystkim jej rozkazy.

Bardzo surowemi były również przepisy, tyczące się ubiorów kobiecych, zwłaszcza pewnego rodzaju ubrania na głowę i zasłony na twarz. Bez



tej zasłony kobiety zamężne nie miały prawa pokazywać się publicznie. Niewolnicom i kobietom złego prowadzenia natomiast noszenie tej zasłony było wzbronionem, a przekroczenie tego prawa karaniem było 50-ma uderzeniami kija.

ILE JEST KOBIET NIEZAMĘŻNYCH W ANGLJI?

W Anglii — jak podaje pewne pismo angielskie — jest 1,800,000 kobiet niezamężnych, z tych 1,200,000 w wieku odpowiednim do małżeństwa to jest pomiędzy 18-ym a 30-ym rokiem życia.

HOJNY ZAPIS.

W Ameryce zmarła niedawno pewna bogata filantropka, Mrs Lawrysus, która zapisała cały swój majątek, wynoszący sumę 350,000 dolarów, na cele społeczne i dobroczynne. Między innymi hojna ofiarodawczyni przeznaczyła większą sumę na założenie stowarzyszenia, mającego się opiekować nieletniemi przestępczyniami, celem wyuczenia ich różnego rodzaju rzemiosł i wychowanie na pożyteczne członkinie społeczeństwa.

ŚWIEKRY POWODEM ROZWODÓW.

Wśród całego szeregu powodów, wywołujących epidemję rozwodów w Ameryce, jednym z główniejszych bodaj jest — zły stosunek pomiędzy synową a matką męża. Stowarzyszenie amerykańskie „Legal Aid Society“, którego zadaniem jest przychodzenie z pomocą rozwodzącym się małżeństwom przez udzielenie im porad prawnych, ogłasza prowadzoną przez siebie statystykę, z której wynika, że na 4500 spraw rozwodowych, przeprowadzonych za pośrednictwem tego stowarzyszenia z górą 400 było wywołanych — nieznośnym charakterem świekry!

Stowarzyszenie, opierając się na tych faktach, ogłasza jednocześnie odezwę do wszystkich świekr Stanów Zjednoczonych, wzywając je, aby zaprzestały zatruwać życie swoim synowym oraz wymieniając cały szereg rzeczy, których nie powinny czynić, jeśli nie chcą stać się powodem nieszczęścia swego syna i doprowadzić do zerwania węzłów założonej przez niego rodziny.

Prawdziwie po amerykańsku!

ZWYCIĘSTWO DZIENNIKARKI.

Dotychczasowy niechętny stosunek dziennikarzy francuskich do ich koleżanek po fachu zaczyna powoli zmieniać się na lepsze. Jako jeden z bardziej znamienitych objawów tej zmiany stanowiska podkreślić należy fakt obrania dziennikarki, pani Ardenne de Tique. (piszącej pod pseudonimem Audrée Viollis), na członka zarządu Syndykatu Dziennikarzy. P. de Tique nie ubiegała się bynaj-

mniej o ten zaszczyt, mimo to jednak, koledzy jej sami wysunęli jej kandydaturę, przyczem otrzymała ona 344 głosy na ogólną liczbę 370.

„NAJNIESZCZĘŚLIWSZA KOBIETA NA ŚWIECIE”

Kto jest najnieszczęśliwszą kobietą na świecie? Bezwątpienia — twierdzi londyński Daily Herald — jest nią żona każdego górnika. Los tych nieszczęśliwych istot, według słów korespondentki tego pisma, jest najcięższy pod słońcem — „ze wszystkich bowiem stworzeń, zatrudnionych przy kopalniach węgla, nie wyłączając nawet konia, wywożącego węgiel — żona górnika pracuje najdłużej i najwięcej.

Stara piosnka angielska mówi, że po grzechu pierworodnym mężczyzna i kobieta podzielili się pokutą: mężczyźni przypadła w udziale praca w pocie czoła, kobiecie zaś — smutek i łzy. Dziś jednak stosunki się nieco zmieniły: kobiety w Anglii nie tylko płaczą, lecz i pracują, zaprawdę, w pocie czoła.

Głównych powodów tak ciężkiego losu żony robotnika, pracującego w przemyśle górniczym, jest trzy, a mianowicie:

1. System trzech zmian na dobę, co sprawia, że nieraz w jednej rodzinie kilku robotników pracuje we wszystkich trzech zmianach.

2. Brak umywalni i wanień, w których górnicy mogliby, przed powrotem do domu, obmyć się z brudu — co powoduje konieczność nieustannego szorowania i mycia mieszkania oraz prania bielizny i ubrań robotników.

3. Niesłychanie niskie płace zarobkowe, które nie pozwalają górnikom najmować posługaczek, przez co żony ich są pozbawione wszelkiej pomocy.

Oto, jak się mniej więcej przedstawia dzień każdej żony górnika:

Wstaje ona o wpół do szóstej, aby zdążyć przygotować śniadanie dla robotnika, idącego na pierwszą zmianę (poranną). O wpół do siódmej — po wyjściu jego do pracy — szorowanie podłogi, zabrudzonej przez błoto i miał węglowy, przyniesiony na obuwie i ubraniu męża, który wieczorem powrócił z pracy.

O siódmej wstają dzieci — trzeba je ubrać, nakarmić i posłać do szkoły. Potem ubiera i myje najmłodsze maleństwo. O 9-tej rano sama dopiero może coś zjeść, a potem wziąć się do pracy domowej: umycia naczyń, prania, prasowania etc. To trwa do południa — potem trzeba wyprawić tych, co idą na zmianę popołudniową, ugotować obiad dla powracających ze zmiany porannej oraz dla dzieci, powracających ze szkoły, no i samej coś zjeść, o ile czasu na to starczy.

Popołudniu trzeba prać bieliznę i ubranie górników — okropna robota ze względu na niesłychaną ilość bru-

du i kurzu węglowego, osiadającego na płótnie, przesiąkniętem potem! A tu jeszcze czeka nowa robota: łatanie i cerowanie zniszczonej przy pracy odzieży...

O szóstej wieczera dla dzieci — starsza córeczka bierze się do zmywania — może co i stłucze, ale cóż robić — jedna para rąk na wszystko nie wystarczy. Trzeba położyć dzieci — posprzątać, ugotować wieczerę dla powracających z popołudniowej zmiany i idących na nocną — o wpół do dziesiątej. Po odejściu tych ostatnich, trzeba posłać łóżka, pozmywać i posprzątać po raz ostatni i wreszcie — około jedenastej w nocy — położyć się do łóżka ze świadomością, że się swej roboty nie skończyło, bo skończyć jej nigdy nie można — i że jutro trzeba zaczynać nanowo...

„KOBIETA PRZEDWCZORAJSZA, A KOBIETA JUTRA”.

Znana autorka francuska, Juliette Françoise Raspail, wydała pod tym tytułem książkę, w której streściła dzieje ruchu kobiecego w odległych wiekach i w czasach bardziej nam bliskich. Rozwoju ruchu kobiecego w wieku XIX p. Raspail nie porusza wcale, zapowiadając, że poświęci temu tematowi osobne dzieło. Książka kończy się rozdziałem „O kobiecie przyszłości“, w której autorka chciałaby widzieć: „matkę szanowaną i czczoną przez całe społeczeństwo, pracownicę, opłacaną i cenioną według jej zdolności i pracy, nie zaś upokorzoną ze względu na jej płeć“.

ZWYCIĘSTWO EGIPCJANEK.

„Związek Kobiet Egipskich“, stowarzyszenie, mające na celu pracę nad usunięciem wielu niedomagań społecznych, związanych z dotychczasowym położeniem kobiet w Egipcie, odniosło w tym roku olbrzymie zwycięstwo, a mianowicie przeprowadziło, dzięki usilnym staraniom swej przewodniczącej, pani Charaoni Pasa, ustawę, która uzyskała zatwierdzenie Rady Ministrów, wedle której minimalny wiek zawierania małżeństw wynosi dla dziewczynki — 16 lat, dla chłopca — 18. Ustawa ta kładzie narzeczcie kres dotychczasowemu małżeństwu, zawierany, obyczajem wschodnim, w wieku prawie dziecięcym.

NOWE PLACÓWKI PRACY DLA KOBIET: RADIOTELEGRAFJA.

Pani Laura Sodtwitt jest pierwszą kobietą, która otrzymała w Norwegji stopień oficerski, jako radiotelegrafistka na okręcie wojskowym. Według zdania pani Sodtwitt, radiotelegrafja jest zajęciem, najzupełniej odpowiedniem dla kobiety, wyraża też ona nadzieję, że w jej ojczyźnie wiele innych kobiet pójdzie za jej przykładem, zdobywając w ten sposób dla siebie nowe pole pracy.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Prawo Pocałunku” — komedia w 3-ach aktach *Tristana Bernarda, Yvesa Mirada i Gustawa Quinson'a*.

Nie możemy wyjść z francuskiego repertuaru komedjowego. Repertuar ten przerażająco płytki, jednostajny, urozmaicony zaledwie od czasu do czasu jakimś świeższym pomysłem czy nowym typem — bawi bardzo umiarkowanie: boć to wszystko widzieliśmy już tysiąc razy; znamy tych margrabiów i tych *bourgeois*, te kokoty bulwarów i te kokoty salonów, tych młodych utracjuszków i wesołych papów, interesownych kochanków i żony z wdziękiem i wesoło łamiących przysięgę małżeńską. Wszystko to jest starą oklepanką, która dziwnie razi dziś, w tej epoce powojennej, przynoszącej z sobą tyle nowych problemów i cały nowy świat typów, uczuć i myśli. Z tych nowych typów komedia francuska przyswoiła sobie tylko *nouveau-riche'a*, choć ma on także odpowiadający sobie dawniejszy typ bogaczonego parwenjusza.

Co jest jednak charakterystyczne, to że „bogacz wojenny” coraz częściej zarówno w naszym, jak i francuskim teatrze występuje jako typ, trochę wprawdzie śmieszny, ale przede wszystkim jedyną sobie sympatją publiczności. Kląniemy się pieniądzwowi bez względu na to, z jakich pochodzi źródła...

I w sztuce paryskiej spółki komedjowej spotykamy się z takim p. Boucatelle, handlarzem win, wdzierającym się dość brutalnie w sferę arystokracji francuskiej. Wystrzilił go autorowie francuscy w męstwo, jako ten jedyny pióropusz, torujący drogę sympatii nawet handlarzom win do serc publiczności francuskiej. P. Boucatelle był w okopach w czasie wielkiej wojny, tam ocalił życie młodemu synowi starego rodu Gastonowi, a potem pożyczka mu pieniędzy, gdy ubogi paniczek, zgrawszy się w karty, nie ma czym zapłacić długu honorowego. To mu umożliwia wdarcie się do starego zamku, — gdzie wszyscy robią mu na każdym kroku impertynencje, a zwłaszcza nieprzejednaną jest Aurora, siostra margrabiego, wdowa czy rozwódka, grająca w domu owdowiałego brata rolę pani domu.

W parę godzin po przybyciu intruza, wybuch „katastrofa”. Arystokratyczna rodzina będzie wyrzucona z zamku, bo „chateau” już od trzech pokoleń nie był ich własnością, dzierżawili go tylko. Teraz zamek nabywa jakiś Amerykanin i dzierżawcy muszą się usunąć. Tu p. Boucatelle występuje, jako zbawca. Daje czek, zamek jest jego, ale on gotów go każdej chwili ustąpić margrabiemu za cenę... pocałunku nieprzejednanej Aury. Jest bowiem w tej okolicy stary zwyczaj, że transakcje wszelkie uważa się za ważne, gdy przypieczętuje je pocałunek. Zwolennik „starych zwyczajów” pan Boucatelle tylko takiego załatwienia sprawy wymaga. Arystokratyczna duma Aury wystawiona jest na najcięższą próbę... godzi się jednak dokonać „poświęcenia” dla dobra rodziny. Dość nienaturalnie, w czasie tego „obrzędu” p. Boucatelle i dumna Aurora pozostają sami — Boucatelle wspaniałomyślnie rzeka się „pocałunku”, ale zaczyna oświadczać swe uczucia dumnej margrabiance i w dość szybkim tempie przelamuje lody. Zaczyna od ucałowania kraju sukni, potem rączki, potem ramienia i t. d. aż wstrzemięźliwość jego przechodzi w burzę pocałunków — a scena kończy się uniesieniem pokonanej arystokratki do zacisznej alkowy.

Potem nie pozostaje już nic Aury, jak wyjść za handlarza win. Ale przedtem przybędzie z Anglii jej ojciec chrzestny, znakomity lord, Ashwell i Boucatellemu odstąpi jeden ze swoich tytułów, usynowi go, a na zakończenie wszyscy troje pojadą do Australji. Oto fabuła!

Ani nowa, ani zreczna! Sztuka ta upadłaby napewno, gdyby nie gra aktorów.

Nie może upaść sztuka, gdy rolę Aury gra p. Cwiklińska, a rolę Boucatelle'a Zelwerowicz.

Tych dwoje artystów dało nam wczoraj wprost koncertowe przedstawienie.

Scena uwodzenia arystokratki przez handlarza win była wprost małym arcydziełem gry scenicznej. Pani Cwiklińska mimiką, głosem, tonem, gestem grała z niezrównaną pewnością siebie, jaką daje tylko całkowite, do najdrobniejszego szczegółu opanowanie swojej roli, jakieś kompletne przerzucenie się w odtwarzaną postać.

Doskonałą również była p. Sulima w roli hrabiny de la Tour d'Argent rozpustnicy salonowej.

Wypowiedziała z wdziękiem i przymiłym uśmiechem nieskończoną ilość prawie niedwuznacznych dwuznaczników i przyczyniła się w niemałym stopniu do rozbawienia lubującej się w takich rzeczach ponad wszystko powojennej publiczności.

Sztuka, mimo swej płytkości, mimo, że w gruncie rzeczy jest nic nie warta — ma zapewnione powodzenie.

H. C.

KWIATY

Największą ozdobą każdego mieszkania są bezspornie kwiaty! W sezonie wiosennym i letnim bukiety ze świeżych kwiatów, w jesiennym, z tak cudnie zmieniających barwy liści, w zimowym wreszcie, kiedy o kwiaty cięte trudno, bo cena ich w mieście nie dla każdego dostępna, a dwór wiejski rzadko poszczycić się dziś może cieplarnią, rośliny doniczkowe dodają, na równi z bukietami, świeżości i uroku najskromniejszemu nawet wnętrzu.

Nie dosyć jednak ozdobić pokój czy też mieszkanie kwiatami, trzeba jeszcze dbać o nie systematycznie, otaczając umiejętną i drobiazgową opieką.

Kwiaty doniczkowe w pierwszej linii wymagają racjonalnego podlewania. Jeżeli flancujemy, czy też przesadzamy je same, winniśmy pamiętać o umieszczeniu na dnie doniczki w otworu, który każda doniczka mieć winna, skorupki, zabezpieczającej otwór od zamulenia. Nie szpontując go zbyt silnie, daje to ujście przy podlewaniu wodzie, która, przeciekając przez ziemię, zwykle na podstawkę, umieszczoną pod doniczką, spływa. Wskazaniem jest również podłożenie kilku kawałków czy to potłuczonej doniczki, czy też wprost cegły pod samą doniczkę, aby w ociekającej na podstawkę wodzie nie stała; wielce gniją od tego korzenie, co powoduje żółknięcie i opadanie liści. Omówić drobiazgowo pielęgnację poszczególnych roślin pokojowych nie da się tak łatwo tem więcej, że wyszedł w roku ubiegłym podręcznik, specjalnie traktujący o wyżej wspomnianej kwestji, i każda z nas, lubująca się w kwiatkach i to w kwiatkach przez siebie samą wyhodowanych, znajdzie w nim łatwo wszelkie wskazówki. Podręcznik ten, jedyny w swoim rodzaju, jest tłómaczony z niemieckiego, a wydany nakładem księgarni Arcta, tamże do nabycia.

Ogólne rady, które przy pokojowej hodowli odniosą bezwzględnie skutek zadawalniający, są: dużo światła i słońca, czyste powietrze (częste wietrzenie pokoi, w których się pali papierosy lub cygara), podlewanie systematyczne, nie dorywcze, okurzanie liści, a dla wszelkich roślin, pokrewnych paproci, częste powierzchniowe skrapianie czyli sztuczne wytwarzanie wilgotnej atmosfery cieplarnianej. Jeżeli dodamy, że wszelkie kwiaty w czasie kwitnienia wymagają obfitszego polewania, że wodą najlepszą i dla roślin najpożywniejszą jest woda deszczowa, że temperatura wody winna być pokojowa i że rośliny sadzić należy w naczyniach porowatych t. j. glinianych niepolewanych, będą to już chyba wszystkie główne „przykazania”, które uzupełnić łatwo intuicją, inteligentną obserwacją, a wreszcie, przy szczerem zamiłowaniu, doświadczeniem i praktyką.

W jednym ze znajomych mi domów hodują corocznie w dużej drewnianej donicy w pokoju tytoń biały pachnący, który zaflancowany na jesieni, kwitnie zimą, rozrastając się przy obfitej i dobrej ziemi oraz starannej pielęgnacji w bujny krzew, a wonią kwiatów

swych napelnia całe mieszkanie. Krzew taki-podsadzony tradescancją (roślina płacząca, znana o łatwej hodowli pokojowej), a ustawiony na niezbyt wysokim słupku lub stołeczku jest dekoracyjny i, trzeba przyznać, że wśród zimy niepospolity.

Przechodząc do dekoracji bukietowej, nadmienić trzeba, że kwiaty cięte żyją długo — o ile mają dużo świeżej wody — umieszczając je zatem, najlepiej w wazonach głębokich i szerokich, baczach, aby lodygami nie wspierały się o dno wazonu. Koniec lodygi obcinać należy, zmieniając wodę, co winno mieć miejsce dwa razy dziennie, gdyż proces gnilizny, jaki się w tychże lodygach wytwarza, powoduje szybkie więdnienie. Kwiaty cenne, czy to piękną swoją, czy też rzadkością odmian lub okazów, wreszcie te najcenniejsze, które są wyrazem uczuć lub pamięci, a których konania godziny radebyśmy odsunąć w wieczność, trzeba umieszczać na noc w chłodnym miejscu, zanurzając je po same główki w zimnej, świeżej wodzie. Tak przechowane, gdyby nawet wieczorną godziną były już lekko przywędnięte, odżyją i nabiorą jedności świeżo zerwanych Pamiętań, że kiedyś w młodości, nad wyraz mi cenne róże czerwone liberty przechowałam w ten sposób o dwie doby dłużej, niż normalnie.

Jedne z piękniejszych są umiejętnie i artystycznie zebrane i ułożone bukiety polne i łączne. Bogactwo delikatnych, koronkowych traw, różnorodność barw kwiatnych, woń ich specjalna świeżością łąk, bogactwem pól, słodyczą miodu tchnące, jest niezastąpione! Jeżeli w pobliżu znajdują się lasy w storczyki bogate, a świeżą ich więź, przetykaną paprocią i trawką o delikatnych drżących serduszkach, w kryształowej czarze ułożymy, będzie to bukiety tak wonią, jak i subtelnością kwiatów godny królewskiej komnaty.

Bogate, barwne i wonne są zawsze i wszędzie odpowiednie, a dla oka tak miłe, róże! Czy to na tle ciemnego, poważnego męskiego pokoju, gdzie barwną plamą ciągną oko, a syąpiąc wonne płatki, cichą szepcą opowieść o kochających, pamiętnych, białych dłoniach, co je tu ku uciesze ócz drogich przyniosły, czy to rzucone wśród tysiąca drobiazgów kobiecie gotowalni, czy w skromnym schłodnym pokoiku, gdzie są jedyną radością samotnika, wszędzie rozciągają krasę swą i godnie berło królowej kwiatów noszą.

Kwiaty na stole jadalnym zastępują w pełni bogactwo zastawy. Niezaprzeczenie, że połączone z piękną, starą porcelaną, kryształami i stylowemi srebrami dają maximum efektu i maximum rozkoszy wzrokowej. Tam jednak, gdzie dla wspaniałości tych miejsca niema i nigdy nie będzie, wystarczy śnieżnobiały obrus opleść girlandami różnobarwnego wina dzikiego, rzucając fantazyjnie gałązki berberysu między różane, złociste i purpurowe liście. To jesienią, a wiosną obrus, osiany świeżymi, wonnymi fiołkami, w lecie bogactwem jednokolorowych lewkoni, gwoździków, wreszcie kiedy ogród już pierwszymi mrozkami spustoszony, a listopadowe imieniny stół, jak długi, rozciągnąć każą i zasłać go obrusem po babkach, prababkach, co to kilkadziesiąt nakryć pomieści, a jeszcze do ziemi zwisa, poszukać tylko skrzętnie na grządkach truskawek trzeba, a zmienione w kolorze przymrozkiem listki, w empirowych wiankach na holenderskie rzucić płótno — efekt będzie niezastąpiony, a pani domu, zasłuży sobie na należne jej uznanie. Zresztą poco szukać tak daleko. Na naszym skromnym codziennym stole jakąż radością dla oka jest kilka wonnych kiści, które skromny posiłek do godności uczty podnoszą. Dom bez kwiatów nie jest w całym tego słowa znaczeniu „domem” kobiety nie jest jej gniazdem — jeżeli kobieta dom swój kocha prawdziwie, przystraja go i upiększa w miarę środków materialnych i duchowych, a każda prawdziwa kobieta, pierwsze miejsce przyzna — kwiatom.

A teraz miłe i piękne czytelniczki pochylcie uszka: gdybyście nawet całym jestestwem swoim ukochały kwiaty, nie oddawajcie im się nigdy bez — rękawiczek, bo nic tak nie niszczy pieśczonej białych dłoni, jak te piękne, wonne one i oni.



GOTOWANIE NA MASZYNCIE.

Paroletni pobyt w Bolszewji nauczył mnie gotowania na wszelkiego rodzaju maszynkach, gdyż przeważnie nie można tam wcale dostać było drzewa w większej ilości. Na razie gotowaliśmy na maszynkach naftowych i spirytusowych, — potem, gdy nafty i spirytusu zabrakło, zaczęliśmy gotować na małych piecykach blaszanych, bardzo ekonomicznych, w Rosji wtedy „Burżukami” zwanych, opalanych drobnymi drzazgami, śmieciem przeróżnym, kawałkami papieru, skręconymi w trąbkę i t. p. Najprędzszym i najtańszym jest stanowczo gotowanie na spirytusie, — spirytus jednak prędko się wypala, trzeba go często dolewać, przyczem znowu każdorazowo trzeba maszynkę gasić lub czekać, aż się sama doszczętnie wypali; przy dłuższym więc gotowaniu lub przy gotowaniu na większą ilość osób lepsze są maszynki naftowe. Nie jestem wcale admiratorką primusów, są one dobre do gotowania wody, gdyż grzeją prędko i zużywają stosunkowo niedużo nafty, — płomień ich jednak nie daje się regulować, — jest zbyt gwałtowny i przez to przy gotowaniu dłuższemu przedstawia niebezpieczeństwo spalania potrawy, potrzebuje nadto dozoru; maszynki knotowe, np. dwuknotowa, o knotach płaskich, szwedzkie maszynki „Graete” bardziej się do stałego gotowania nadają, (tegoż systemu maszynki o knocie okrągłym są trudniejsze do utrzymania w czystości, często kopcą i t. d.). Jeżeli się tyle tu rozpisałam o maszynkach naftowych, to tylko dlatego, że miałam z nimi sama dużo kłopotu, którego bym rada moim czytelnikom oszczędzić, — w końcu jednak nabrałam takiej wprawy, że przy pomocy mojej poczciwej służącej, która nigdy przedtem żadnej maszynki nie widziała, robiłam na dwóch „Graete’ach” doskonałe obiady i śniadania, nieraz mając po kilkanaście osób gości.

Wszystko, co powiedziałam o maszynce „Primus”, stosuje się i do fajerek gazowych, te ostatnie jednak zostały ostatnimi czasy udoskonalone, gdyż gazownia warszawska ma teraz nowe palniki oszczędnościowe, które można przystosować do danych fajerek. Palniki te, niezależnie od tego, że oszczędzają znacznie gaz, mają tę zaletę, że można w nich regulować płomień, co umożliwia gotowanie zup, duszenie mięsa i t. p. rzeczy ogromnie utrudnione przy stale jednakowym, silnym płomieniu.

W zasadzie, na każdej maszynce spirytusowej czy naftowej, gazowej czy ekonomicznej dawnej, można ugotować wszystko to samo, co na zwykłej blasze, wykluczone są więc wszelkie ciasta i paszteciki, leguminy zapiekane, pieczone pod blachą i t. p. Rozmaitość potraw innych, dających się przyrządzić, jest ogromna i chcąc je wszystkie wymienić, a nawet, jak żąda „S. Z.”, opisać dokładnie ich przyrządzenie, należałoby napisać całą książkę kucharską, co oczywiście na łamach „Bluszczu” jest niemożliwym. Ponieważ jednak oprócz tego, że osoby gotujące na maszynkach mają jedną tylko fajerkę do rozporządzenia, przeważnie brak im i czasu na dłuższe zajmowanie się kuchnią, podam na przedź bardzo praktyczny sposób przechowania

w ciepłe potrawy już ugotowanej, a potem szereg najprostszyc i najłatwiejszych dań, dających się prędko na maszynce przyrządzić; na przyszłość zaś podając przepisy do „Bluszczu”, będę się starała uwzględnić potrzeby licznej rzeszy ludzi, nie mających własnej kuchni i własnej służby, a nie chcących się truć kontyngensowymi obiadami, i będę podawała bądź potrawy specjalne dla nich, bądź będę zaopatrywała przepis uwagą, (daje się przyrządzić na maszynce).

Chcąc ugotować np. zupę i mięso lub też mięso i jarzynę, musimy pierwej ugotowaną potrawę przechować w ciepłe. W tym celu należy jaki stary szal, kawał sukna, obrusu lub inną jaką szmatę podszyc kilkunastu warstwami starego, gazetowego papieru; garnek z gotową potrawą, zakryty pokrywą, stawia się w środek i starannie otula ze wszech stron, — ciepło się przechowuje nawet godzin parę. Jeszcze lepiej jest garnek zwykle używany zawinąć kilkanaście razy wokoło starymi gazetami, obwiązać to wszystko sznurkiem, z kilkunastu gazet zrobić do tego ścielnie pasujące przykrycie, poczem garnek się wyjmuje, gotuje w nim lub dusi jaką chcąc potrawę, poczem garnek gorący wstawia w przygotowaną uprzednio formę, przykrywa pokrywą własną, pokrywą gazetową, nakoniec w kilkoro złożonym szalem lub grubym płótnem, — w taki sposób ciepło się przechowuje trzy do czterech godzin, a nawet nieco niedogotowaną potrawa dojdzie zupełnie (np. kasza lub ryż się rozkleja zupełnie, mięso duszone nieco twarde zmięknie, jarzyny twarde zmiękną i t. p.).

Mając dwa takie gniazda, zastosowane do dwóch garnków lub rondli, możemy już przyrządzić zupę i jarzynę, które będą stały w ciepłe, zanim usmażymy lub udusimy mięso. Jeżeli uprzednio ugotujemy kompot czy kisiel, które przez ten czas znowu ostygną, będziemy mogli mieć już kompletny obiad, składający się z czterech dań — zupy, jarzyny, mięsa i deseru, do którego możemy dodać sałatę zieloną lub pomidorową, mizerję lub ogórek kwaszony, a taki obiad przecież może zadowolnić nawet ludzi, stosujących większe wymagania co do kuchni codziennej.

Zanim przejdę do poszczególnych jałospisów i potraw, muszę zrobić jeszcze jedną uwagę. Jeżeli chcemy przyrządzić jedzenie prędko i dobrze, należy wszelkie jego składowe części przygotować uprzednio, wszelkie kasze, grochy namoczyć na 24 godziny w wodzie, (grochy i fasole z dodaniem do wody pół łyżeczki sody) przez co w kilka lub kilkanaście minut się ugotują; mięso pokrajać, zbić, związać i t. p. jarzyny oczyścić i pokrajać odpowiednio, ciasto na naleśniki, racuchy i t. p. przyrządzić, wybić dobrze, trzymać przykryte serwetą, sól, pieprz, ocet i t. p. mieć przygotowane pod ręką, żeby niczego nie szukać, niczem się nie odrywać od roboty, — gdyż przez brak dozoru obiad się przypalić lub wykypieć może. Zaczynając od zup, nie radzę na maszynce gotować rosółu z mięsa, a przynajmniej gotować go często; żeby był dobry i sztuka mięsa dobrze ugotowana, potrzeba trzech do czterech godzin czasu, natomiast możemy łatwo ugotować rosół z młodej kury lub cielęciny. Więc na

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.
ATRAMENTY
„KOLORYT”
ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA.

dwie do trzech osób bierze się pół kilo cielęciny od mostka lub górkę (lub też pół młodej kury lub jedno kurczę), zatem półtora litra wody zimnej stawia na duży ogień maszynki, przykrywa pokrywą, uważa pilnie, kiedy się znacznie gotować, pokrywę się wtedy zdejmuje, rosół starannie szumuje łyżką, wsypuje soli do smaku, okłada jedną oczyszczoną i pokrajaną w paski iub kostkę marchew, pół pietruszki, gałązkę kopru, dwa ziarenka ziela, gotuje dalej na zmniejszonym ogniu, aby za ledwo kipiał około kwadransu; gdy mięso już zaczyna mięknąć, (próbując się widelcem) zasypuje się rosół pół szklanką ryżu (wpierw namoczonego na godzin pięć w wodzie zimnej) lub 50 gramami drobno połamanego makaronu włoskiego czy wermiszela, gotuje jeszcze minut dziesięć i odstawia do papierowego gniazda. W małym garnuszku rozpuszcza się łyżkę masła, łyżkę mąki rozbija w pół szklance wody, dolewa do masła, zagotowuje, wsypuje w to dobrą łyżkę drobno pokrajanego koperku, rozprowadza szklaneczką piwną rosółu, wkłada w to zgrabnie pokrajaną cielęcinę lub kurę, zakrywa pokrywą i wstawia w drugie gniazdo.

Na maszynkę się stawia garnuszek z zimną wodą i wkłada w nią pół kilo oczyszczonych, niedużych młodych kartofli, przykrywa pokrywą; gdy się zagotują, soli nieco, poczem gotuje się odkryte na dosyć silnym ogniu; gdy zmiękną, wodę należy odlać, włożyć w kartofle łyżeczkę herbatnią masła, łyżeczkę siekanego koperku, przetrząść razem, maszynkę zgasić i ten pierwszy obiad, przeznaczony dla najbardziej kontyngensowymi obiadami sfałgowanych żołądków, spożyć. Przyrządzić go potrafi chyba każdy, co dotąd rondla nie widział.

(c. d. n.)

KALTESZAL.

Pół funta chleba żytniego, pyłowego, podsietkowego lub razowego pokrajać w cieką, długą kostkę i podsuszyć pod blachą do lekkiego zrumienienia, uważając, aby się nie przypalił. W dużą wagę wsypać pół funta cukru i włożyć dwie cytryny, pokrajane w plasterki, dwa goździki i dwucalowy kawałek cynamonu, ucierać to drewnianą łyżką, aż cukier się zupełnie rozpuści i cytryny rozetrą, a przynajmniej cały sok wypuszcza; wlać na to pół butelki białego, najlepiej reńskiego wina, trzy butelki zwykłego, jasnego piwa, włożyć duży kawał lodu (około trzech funtów). Do szklaneczek piwnych wsypuje się po łyżeczce grzanek chlebowych, nalewa kalteszal i pije przez słomkę. Doskonały, orzeźwiający napój na dni upalne. Wina można doń nie używać ze względów oszczędnościowych, oczywiście smak będzie mniej wykwintny, lecz zawsze dobry.

Pani Elżbieta.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU
PIG. CHLOROFILOWE
GESSNERA
115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

DORAŻNA POMOC
Lekarzy Specjalistów
w Warszawie

„AUXILIUM”

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy KONYLJA

222 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

Polecamy doskonałe mydło przeciw łupieżowi



TOH. INC. „Fr. Karpiński”
W WARSZAWIE

Od Wydawnictwa.

Prosimy o uregulowanie zaległej prenumeraty. Wysyłkę „Bluszczu“ wstrzymujemy po otrzymaniu zawiadomienia o przerwaniu prenumeraty lub też w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca, co nie zwalnia od uiszczenia należności za wysłane, a przyjęte przez Szan. Prenumerat. numery. Za wznowienie wysyłki liczyć będziemy należność dodatkową w kwocie 50 groszy. **W razie nieotrzymania „Bluszczu“ we właściwym czasie, należy natychmiast numer odnośny zareklamować kartką korespondencyjną.** Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobierania kosztów. **Na wszelką korespondencję Sz. Pren. odpowiadamy tylko w razie przesłania znaczków poczt. na odpowiedź.** Przy przesyłaniu należności za prenumeratę czekiem P. K. O., jak również przy zamawianiu listownem tygodnika, należy podać dokładny i wyraźny swój adres.

„Bluszcz“ wychodzi co tydzień w sobotę. Do każdego numeru dołącza się bogato ilustrowany dodatek mód i robót oraz dodatek powieściowy formatu książki. Dwa razy w miesiącu do „Bluszczu“ dołącza się arkusz naturalnej wielkości wzorów do kopjowania na materjale, do n-ru zaś po 15-tym każdego miesiąca—tablicę krojów. Prosimy o rozpowszechnianie „Bluszczu“ w kołach swoich znajomych. **Korespondencję należy umieszczać na czekach P. K. O., w wyznaczonym na korespondencje miejscu,** gdyż wszelkie uchybienia w tym względzie powodują potrzebę pisemnych wyjaśnień.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 33

355. Palto z lekkiej wełny z kloszową falbaną, przybrane haftem kolorowym.

356. Kostjum z granatowej gabardiny, przybrany wąską czarną tasiemeczką.

357. Suknia z crêpe marocain koloru orzechowego, przybrana haftem z pacioreczków.

358. 359. Najmodniejsze fasony jesiennych kapeluszy.

361. Sukienka dla dziewczynki od lat 11 do 14 z ponsowego woalu, pasek wyszyty czarnym sznureczkiem.

362. Sukienka dla małej dziewczynki z granatowego sukienka. Wyszycie w barwnych kolorach.

363. Strojna suknia z crêpe de chine'u białego i czarnego, wyszyta czarnymi pacioreczkami.

364. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 6 z odpasowanego haftu.

365. Sukienka dla dziewczynki od lat 11 do 14 z woalu electric, przybrana haftem. Boki plisowane.

367. 368. Najmodniejsze fasony jesiennych kapeluszy.

369. Kostjum dla dziewczynki od lat 6 do 10. Spódniczka w kratkę, żakiet z gładkiej wełny.

370. Kostjum dla dziewczynki od lat 8 do 14 z granatowej wełny, zapięty na guziki z perłowej masy.

371. Kostjum z piaskowej wełny, przybrany wyszyciem w czterech kolorach.

372. Paltocik dla dziecka od lat 5 do 8 z wełny w kratkę.

373. Kostjum dla dziewczynki od lat 10 do 15. Spódnica w pasy, żakiet wiązany z boku.

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie 48 zł. — gr.
kwartalnie 12 „ — „
miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.
zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 90 zł. — gr.
 $\frac{1}{2}$ „ 51 „ 75 „
 $\frac{1}{4}$ „ 29 „ 25 „
 $\frac{1}{8}$ „ 15 „ 75 „
 $\frac{1}{16}$ „ 9 „ — „
 $\frac{1}{24}$ „ 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na $\frac{1}{4}$ część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

374. Bluzka — Kaftanik z wełny granatowej, przybrana fantazyjną taśmą.

375. Bluzka z trykotiny gładkiej i krepowanej.

376. Bluzka z crêpe marocain, przybrana haftem.

360. 366. 377. 378. 379. Motywy na suknie. — Haft kolorowy.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. **Zamówień nie należy skuteczniczać na blankietach**

czekowych P. K. O.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i 1. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.